

ŻELSKI KASICKI HOMMA

PIENIAŻEK ŻUROMSKA BRYSZEWSKI

MARCINIAK DĘPCZYK SARZYŃSKA



KACZOR REIWER SZUBA

CYMBELIUM

†⊙Δ I

OPowieści NA ŚWIĄTECZNĄ CHWILĘ



CYΔEΛIUM

*ΘΔ I

© Copyrights by Mafia Literacka, Gdańsk 2022

© Copyrights by Grzegorz Bryszewski, Natalia Dępczyk,
Paweł Homma, Anna Kaczor, Dominik Kasicki,
Zuzanna Marciniak, Agata Pieniążek, Grzegorz S. Reiwer,
Monika Sarzyńska, Mateusz Szuba, Aleksander Żelski,
Dorota Żuromska

Redaktor prowadzący
Grzegorz Stanisław Reiwer

Skład i łamanie
Paweł Homma

Opracowanie graficzne oraz ilustracja na okładce
Paweł Homma

Ilustracje
Agata Radziszewska

Wydanie I
Gdańsk 2022

ISBN 978-83-966716-0-8



OPOWIEŚCI NA ŚWIĄTECZNĄ CHWILĘ

Agata Pieniążek
Aleksander Żelski
Anna Kaczor
Dominik Kasicki
Dorota Żuromska
Grzegorz Bryszewski
Grzegorz S. Reiwer
Mateusz Szuba
Monika Sarzyńska
Natalia Dępczyk
Paweł Homma
Zuzanna Marciniak

Ilustracje:
Agata Radziszewska



SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
Świąteczny cud	9
Agata Pieniążek	
Świąteczna Atmosfera	17
Aleksander Żelski	
Zanim spadnie pierwsza gwiazda	19
Anna Kaczor	
Podarunek	29
Dominik Kasicki	
Oberża pod fikcją	35
Dorota Żuromska	
Niegrzeczni	41
Grzegorz Bryszewski	
Czerwone i zielone	47
Grzegorz Stanisław Reiwer	
Prezenty	53
Mateusz Szuba	
Dobromir i Komnata Dzikich Akrobacji	59
Monika Sarzyńska	
Święty nie taki święty	65
Natalia Dępczyk	
Dziewczyna w różowej piżamie	77
Natalia Dępczyk	
Wizyta	85
Paweł Homma	
Szyba	91
Zuzanna Marciniak	

Przedmowa

W 2017 r. rozpocząłem niezwykłą podróż, a przynajmniej jeden z jej etapów. Zostałem pisarzem.

Kiedy dostałem propozycję poprowadzenia warsztatów twórczego pisania w Bibliotece Sopotckiej, sądziłem, że nie ma w tym nic trudnego. Myliłem się. Tak naprawdę chodziło nie o prowadzenie czegokolwiek lub kogokolwiek, a o grupę. Wszyscy znaleźmy kierunek: pisanie. Chodziło o ludzi, którzy opowieściami tworzą więzi. Każdy z nas ma inne pragnienia i marzenia, lecz wszystko to jest połączone właśnie z pisaniem. Pasja? Wena? Warsztat? Warsztaty twórczego pisania, poradniki i kursy dają jedynie drogowskazy. Najważniejsze, żeby pisać, najlepiej jak się potrafi.

Jeśli piszesz, spotkasz podobnych sobie ludzi. Nowe miejsca. Inspiracje. Blokady. Kierunek już znasz. Tak, pisanie. I zgodnie z powiedzeniem, że samemu idzie się szybciej, ale z kimś dalej, przedstawiam antologię. Pierwszą z (mam nadzieję) wielu.

Chciałbym podziękować członkom grupy pisarskiej „Pod Kocem i Książką”: Annie J., Mateuszowi Sz., Aleksandrowi Ż.,

Dominikowi K., Zuzannie M., Pawłowi H. i Natalii D. – za to, że byliście i jesteście od początku. A także: Agacie P., Annie K., Dorocie Ż., Monice S. i Grzegorzowi B. – za to, że wzbogaciliście nasze szeregi. Bez Was nie byłoby grupy ani tej antologii.

Graficzne Agacie R. składam szczególne podziękowania za zaangażowanie i pośpiech, z jakimi uczyniła tak piękne obrazy, osobno do każdego z tekstów!

Dziękuję również Anecie Gawrysiuk-Pusz z Biblioteki Sopockiej. Znosi nasze spóźnienia, głośny śmiech i przeciągające się spotkania. Jak na dobrego gospodarza przystało dba o pisaki, kawę, herbatę, ale też o nasze samopoczucie.

Wreszcie pragnę podziękować Dyrektorce Biblioteki Sopockiej Ewie Lewandowskiej za okazane zaufanie i przestrzeń, w której możemy realizować swoją pasję.

Drogi Czytelniku i Czytelniczko,

jeśli macie jakieś spostrzeżenia, którymi chcielibyście się podzielić, prześlijcie je na adres: greiwer@gmail.com.

Liczę na otwartość i serdeczność, z którymi również pisano poniższe teksty.

Z góry dziękuję!
Grzegorz S. Reiwer



ŚWIĄTECZNY CUD

Agata Pieniążek

Splecione, spocone ciała.

Pożądlivy wzrok, szkarłatne paznokcie zaciskające się na pościeli.

Last Christmas dobywające się z podniszczonego radia.

Maria pamiętała każdy szczegół zdrady, którą odkryła tuż po powrocie z konferencji w Paryżu. Wracała z miasta miłości i znalazła narzeczonego z inną kobietą we własnym łóżku. Cóż za ironia.

Był dwudziesty trzeci grudnia. Zatłoczoną ulicą taszczyła zakupy do klitki, którą wynajęła kilka dni wcześniej. Nie zamierzała świętować hucznie. Kupiła siatkę mandarynek i uszka do barszczu, w tym roku dosolonego jej własnymi łzami. Kilkoma butelkami wytrawnego Chianti upije się w swoje pierwsze samotne Święta. Zapowiadała się niezła zabawa.

Nerwowa atmosfera oblepiała każdego przechodnia tak, jak śnieg pokrywał poręcze, chodniki i drogi swą lepką konsystencją. Maria lawirowała między ludźmi, jednocześnie robiąc uniki przed lodowatymi grudkami lodu, pomiatanymi wściekle przez wiatr. Cały świat zdawał się niepowstrzymanie

pędzić, aby zdążyć ze wszystkim na czas przed Wigilią Bożego Narodzenia.

Maria przekłęta cicho pod nosem. Nienawidziła zimna, Święt i życia w ogóle. Cholerna święta Trójca.

Wtem uwagę Marii przykuło gwałtowne poruszenie kilkanaście metrów dalej. Wokół jakiejś kobiety rozsypało się kilkadziesiąt mandarynek. Pomarańczowe kulki rozbiegły się we wszystkie strony, wpadając ludziom pod nogi i grzęznąc w białych zaspach śniegu. Maria zwolniła; miała wrażenie, jak gdyby do jej nozdrzy doszedł smakowity zapach cytrusów, wzbudzając w niej ciepło miłych skojarzeń. W jednej chwili pędzący tłum odwrócił się w stronę kobiety, jak gdyby była osią świata, ku której zdążają wszystkie atomy. Ludzie zaczęli odkładać swoje zakupy i zbierać z ziemi mandarynki niczym najcenniejsze skarby. Ktoś podał nawet kobiecie własną siatkę, aby mogła schować owoce. Nieznośny jazgot tłumu na moment zmienił się w radosny gwar ludzi zjednoczonych wspólną sprawą – pomocą. Maria przez moment miała wrażenie, że świat stał się trochę bardziej przyjazny niż wcześniej. Nie zatrzymała się jednak, lecz przyśpieszyła kroku, aby jak najszybciej dotrzeć do wynajętego mieszkania, gdyż fala półmroku coraz szybciej spływała na świat, otulając go swymi ramionami.

Skręciła w mniej uczęszczaną uliczkę. Wiatr nieco przycichł, lecz wciąż padało. Ciemność postępowała coraz szybciej, dlatego Maria pewnie nie zwróciłaby nawet uwagi na skośnookiego chłopaka, gdyby nie jego nadzwyczajne zachowanie. Na środku chodnika, z twarzą zwróconą ku niebu i wystawionym językiem, łapał pojedyncze płatki śniegu. Z jego osoby biła tak autentyczna radość i zachwyty, że Maria stanęła jak wryta. Patrzyła ze zdumieniem, jak Azjata połyka śnieg,

a później schyla się i gołymi dłońmi nabiera garść puchu, śmiejąc się do rozpuku.

– This is amazing! – krzyknął w jej stronę. Jego szczęście i zafascynowanie czymś, co dla Marii zawsze było jedynie przykrym elementem zimy sprawiło, że uśmiechnęła się krzywo. – Merry Christmas!

– Merry Christmas – odpowiedziała głośno i ruszyła dalej, chowając głowę w miękkich fałdach szalika. Doszła do wniosku, że chłopak musiał być szaleńcem. A może właśnie tak wygląda prawdziwe szczęście?

Maria poczuła w sercu ukłucie zazdrości, które prędko rozlało się po całym jej ciele, powodując pieczenie w oczach. Potrząsnęła głową. Ostatnim, czego teraz chciała, były przymarznięte do skóry łyzy.

Była już niemal pod szarym blokiem, w którym tymczasowo mieszkała, kiedy jej uszu dobiegł cichy pisk. Ledwo dostrzegalna jasna plama prawie stopiła się ze śniegiem, lecz niewątpliwie była źródłem dźwięku.

Maria pochyliła się nad kształtem i uświadomiła sobie, że patrzy na szczeniaczka. Przerażona, szybko zdjęła szalik, owinęła nim popiskujące zwierzątko i ułożyła je sobie pod pachą. Na tyle, na ile pozwalały jej zakupy i zdradziecki grunt pod nogami, pobiegła do domu. Tam ułożyła pieska na kanapie, owinęła kocami, a następnie napoiła wodą i nakarmiła kotлетem, który został jej z obiadu z poprzedniego dnia.

Posilony szczeniaczek momentalnie wstał na nogi. Merdając ogonem, wdrapał się na kolana Marii i mokrym pocałunkiem uraczył jej twarz. Był nieskazitelnie biały, w czarnych oczkach tkwiła bezinteresowna miłość. Zwinął się w kulkę u boku Marii i zapadł w głęboki sen istoty, która dopiero co została ocalona z ramion śmierci.

Maria nie wiedziała, co ją obudziło, lecz nim otworzyła oczy, zdążyła zarejestrować dwie rzeczy: piosenkę Last Christmas i drażniący nozdrza słodki zapach mandarynek.

Zdezorientowana, rozejrzała się po mieszkaniu i z obrzydzeniem odrzuciła od siebie pościel z nadrukowanymi sercami. Wbiła zdumiony wzrok w tysięjącego mężczyznę, siedzącego przy kuchennym stole. Nie zauważył, że się obudziła – jadł mandarynkę i podrygiwał w rytm muzyki, całą swoją uwagę poświęcając ekranowi telefonu. Miała ochotę wydrzeć komórkę z jego ręki i na własne oczy przekonać się, że pisze z tamtą pindą, lecz zdumienie odebrało jej zdolność poruszania się.

Rozstali się dwa tygodnie temu. Nakryła go na zdradzie. Wynajęła mieszkanie. Miała spędzić wigilię sama, ale znalazła szczeniaczka. Zaopiekowała się nim i razem zasnęli na kanapie.

Więc co do cholery robiła tutaj?

– Zdradzasz mnie.

Słowa opuściły jej usta, nim zdążyła uformować je w głowie w zgrabne, miłe zdanie, których tworzenia zawsze ją uczone.

Narzeczoney odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

– Marysia – wydusił z siebie. – Obudziłaś się.

– Co ja tu robię? – Nie pozwoliła mu wypowiedzieć ani słowa więcej.

Mężczyzna spojrział na nią ze zdumieniem. Wstał z krzesła, a ona patrzyła, jak lepki sok spływa z jego palców wprost na podłogę.

– Jak to co? Skąd w ogóle takie pytania?

łomotało jej w głowie. Przyłożyła dłonie do skroni i przymknęła oczy, jakby miała nadzieję, że po otwarciu ujrzy znów wynajętą kawalerkę i śpiącego szczeniaka.

– Który dzisiaj? – zapytała zniecierpliwiona.

– Co...? – Mężczyzna przysiadł na skraju łóżka i patrzył na nią z przerażeniem. Pomyślała, że jego twarz nigdy wcześniej nie była dla niej bardziej obca.

Sięgnęła do szafki nocnej i rozświetliła ekran. Zamarła, czytając małe literki informujące o dacie. Dziesiąty grudnia.

– Marysia. Maria. – Mężczyzna próbował zwrócić na siebie jej uwagę. Patrzyła niewidzącymi oczami, aż małe znaczki rozmazały się w niezdatne do odczytania plamy.

Wreszcie spojrzała na niego twardo. Był dziesiąty grudnia. Jakimś cudem cofnęła się w czasie.

Jak w transie wstała i ruszyła do przedpokoju, gdzie narzuciła na piżamę płaszcz.

– Powiedz tamtej, że jesteś już wolny – powiedziała do narzeczonego, który przyczłapał do korytarza tuż za nią. Nie zawracała sobie głowy odczytywaniem myśli z jego twarzy. Odwróciła się na pięcie i wyszła. Miała wrażenie, że usłyszała jeszcze śliski odgłos upadającej na ziemię mandarynki.

Maria zaczerpnęła duży haust świeżego powietrza, pierwszy raz czując wdzięczność za chłód omiatający jej rozgrzane ciało. Rozpostarła ramiona i roześmiała się w głos.

A później skierowała swe kroki do schroniska dla zwierząt.

O autorce: studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Laureatka XXX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Marka Hłaski. Kocha pisanie, jazdę konną i kawę z mlekiem. Prowadzi drużynę harcerską, gra na gitarze i dużo podróżuje. Uwielbia tworzyć nowe historie, najczęściej obyczajowe, dotyczące problemów codzienności. Inspiruje ją przyroda i otaczający ją ludzie.



ŚWIĄTECZNA ATMOSFERA

Aleksander Żelki

Święta, święta, święta...

Kingę prześladowały, napastliwe niczym demony, myśli o świętach.

Paskudny czas.

Do tego zbliżał się nieubłaganie.

Malowała się przed lustrem, rozmyślając jak przeżyć ten okres powszechnie przyjętej radości. Nie zakupiła choinki, jak to zawsze robili rodzice w jej rodzinnym domu, gdy była małą dziewczynką.

Przypominająca rysia, szaro pręgowana kotka Pusia zamiauczała żałośnie. Zakręciła się przy misce z tymi swoimi zabawnymi pędzelkami na uszkach i długimi, białymi wąsami.

– Wybacz. Kompletnie zapomniałam dać ci jeść. – Nasypała swojej małej podopiecznej kocich chrupek. Mrucząca Pusia rzuciła się do miski.

– Bądź grzeczna. Mamusia niedługo wróci. – Pogłaskała kotkę, która zamachała ogonem.

W drodze do pracy w autobusie usłyszała, jak dzieci śpiewały:

– Dzwonią dzwonki sań...

Odwróciła się, krzywiąc pomalowane na czerwono usta. Przycisnęła białe słuchawki w uszach, aby zagłuszyć denerwujące ją kolędy. Zastąpił je ukochany zespół Led Zeppelin.

Jedno z dzieci w ferworze zaśpiewów wpadło na nią.

– Proszę zabrać dziecko! – rzuciła do stojącej obok kobiety.

– Nie czuje pani atmosfery świąt? – zapytał chłopczyk.

– Nie – odpowiedziała twardo.

– Przepraszam panią bardzo – odparła matka, zabierając synka.

Chłopczyk wskazał na nią paluszkami.

– Mamusiu, ta pani nie czuje atmosfery świąt.

– To nie nasza sprawa, Kubuś.

Śledziła ich wzrokiem, gdy wysiedli na kolejnym przystanku. Sama ruszyła dalej, do centrum.

Pojazd raz po raz mijają przystrojone kolorowymi lampkami drzewka i ubraną choinkę na głównym placu. Pracowała w galerii handlowej i, jak na ironię losu, jej zadaniem było rozdawanie cukierkowych bombek i zawieszek na drzewka bożonarodzeniowe.

Towarzyszyła jej Agata, blondynka, której świąteczne egzaltowanie okropnie irytowało Kingę.

– Kinga, a co ty taka naburmuszona? – zaatakowała ją na dzień dobry.

– Bądź cicho i chodź.

Kinga wymusiła uśmiech.

Dzieciarnia już zmierzała w ich stronę.

– Możemy cukierka, psze pani? – zaczepiła ich... – Wezmę dwa, jeden dla mnie, drugi dla braciszka.

– Proszę... – odpowiadała.

– Masz kochanie. Wesółych Świąt. – Agata nie przestawała się uśmiechać i machała dzieciom radośnie.

– Skąd u ciebie tyle radości w ten paskudny czas? – zapytała Kinga koleżankę.

Ta zamrugała zdumiona.

– Paskudny? Jak możesz tak mówić?

– Po prostu, paskudny i wstrętny. – Kinga wzruszyła ramionami. – Od wielu lat w święta łapie mnie melancholia. Rozmyślałam nad coraz szybciej upływającym czasem. Nie widzę w nim oznak radości i szczęścia, o których wszyscy tak rozprawiają.

Alejką, wypełnioną różnymi sklepami spacerowały tłumy. Szukali prezentów dla bliskich na przysłowiowy ostatni moment. Trzymające się za ręce pary w czerwonych czapkach Mikołajów przemierzały galerię. Komentowali świąteczne dekoracje na wystawach. Wszystkiemu towarzyszyła melodia Last Christmas zespołu Wham!

– Naprawdę tego nie czujesz? – nie ustawała Agata, pytając głosem drażniącym, niczym bzycząca koło ucha natrętna mucha.

Wytrzymać jeszcze, te parę godzin, parę godzin, modliła się w duchu. A potem trzy dni wolności. Wrócę do domu do swojej kochanej kotki Pusi.

Wigilia wypadła tym razem w sobotę.

Zapewne cały ten czas spędzi w piżamie z lampką czerwonego wina w dłoni lub śpiąc. Pusia ułoży się jej w nogach, miło grzejąc. Jak co roku w czasie świąt Kinga zatraci się oglądaniem anime.

Chyba jednak mam jakąś świąteczną tradycję, uznała.

O autorze: urodzony w 1992 r. Pisaniem zainteresował się jeszcze w liceum. Ma w dorobku jedno opowiadanie w Antologii Biblioteki Sopotkiej oraz jedno, które wygrało konkurs Torpory napisane narracją drugoosobowa. Interesuje się głównie szeroko pojętym nurtem fantastyki. Pracuje obecnie nad cyklem powieści osadzonym w wieloświecie. w swojej twórczości łączy wiedzę z zakresu fizyki i filozofii, z którymi jest też związany zawodowo.



ZANIM SPADNIE PIERWSZA GWIAZDA

Anna Kaczor

– A weź dorzuc jeszcze kilka, upchniemy to jakoś – rzucił pewnym siebie spojrzeniem spod gęstych, siwych brwi.

Rudy posłusznie wziął, co trzeba i umieścił całość w przepastnym brzuchu worka. Następnie zawiązał sznur i pociągnął za niego, sprawdzając, czy zdoła unieść wszystko, co przed chwilą zapakowali. Jego niski wzrost nie ułatwiał tego zadania. Wór ledwie drgnął.

– Nie ma szans, sam nie dam rady – wycedził młody, usiłując zarzucić pękaty worek na stojące obok sanie. Jego nos i policzki załała jeszcze intensywniejsza czerwień.

– Jak nie dajesz rady, to poszukam nowego kompana – zarechotał starszek. Wstał, zacisnął popękany, skórzany pas, podkreślający jego kształty i podszedł do Rudego, brodząc w śniegu po kostki. Chwytał wielki pakunek i załadował go na śnieżny pojazd. Wydawać by się mogło, że zawartość worka pobrzękuje w rytm *We wish you a merry Christmas*, które rozbrzmiewało w pobliskim parku. Odbływały się w nim coroczne rozgrywki w lepieniu świątecznych bałwanów. Dzieci piszczwały i prześcigały się w toczeniu śnieżnych kul.

W powietrzu unosiła się woń pomarańczy, goździków i miodu. Cierpki zapach grzańca przecinał zmrożone grudniem powietrze. Śnieg rozsypyany po trawnikach i skwerach migotał drobinkami brokatu. Całość okraszało ciepłe światło latarni, które układało się wygodnie na szkieletach drzew.

Staruszek zabezpieczył łądunek i wepchnął sanie na dużą połąć śniegu. Biały puch skrzyphiał pod wysokimi, wysłużonymi butami. Zostawiali za sobą ślady, wydeptując kolejne już tego wieczoru ścieżki.

– A ty pamiętasz, jaka to była radocha? – Przystanął – Każde dziecko chciało pierwsze wbiec na śnieg, żeby zostawić odcisk swojego buta.

– Taa – zamyślił się Rudy. – Albo rzucić się na plecy i zrobić orła. To dopiero było! – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Za chwilę to na tym lodzie orła wywinimy. – Stary zaśmiał się rubasznie.

– No, ale jak dalej będziemy się tak grzebać, to nie zdążymy.

– Wszyscy tak się spieszą. A gdzie tu się spieszyć? – przyglądał poczochną brodę.

– No jak? A z tym, co? – Młody obrzucił worek pytającym spojrzeniem.

– No, to, to inna rzecz jest. Wigilia sama się nie robi. – Puścił mu oczko. – Ciągnij, ciągnij, mały, ja pcham.

– A ty, byłeś grzeczny w tym roku? – zapytał Rudy, zacierając zmarznięte ręce. – Łyczek dla zdrowotności?

– No tobie nie odmówię – ucieszył się Mikołaj i odrzucił do tyłu biały pompon spadający mu na czoło.

– No to siup. – Rudy odchylił połę płaszczu i wyjął butelkę trunku. – Amarenka, królu złoty. Grzaniec jak ta lala. – Przekazał koledze resztkę napitku. – I lecimy – pociągnął lejce i metalowe skarby zabrzącały w worku. – Skup zamykają o piątej.

O autorce: uwielbia jesień, ładne kubki i zdania, które pozostawiają za sobą jakiś ślad. W wolnych chwilach rzeźbi w słowach i wyplata makramowe ozdoby. Z wykształcenia filozofka i marketerka. Zawodowo zajmuje się copywritingiem i innymi rzeczami, które aktualnie ją interesują. Na co dzień ugania się za dwoma chłopcami, którzy skradli całe jej serce.



PODARUNEK
Dominik Kasicki

Drewniane schody szkoły podstawowej w Janówku skrzypiały głośniej niż woźna, która uciszała podniecone głosy uczniów, wracających po przerwie świątecznej. Jej głos nikał w tupocie traperów i kozaków, które naznosiły do budynku śnieg oraz wspomnienia bożonarodzeniowych prezentów.

– Ja dostałem lego – puszył się Marek, syn przedsiębiorcy trudniącego się handlem niemiecką chemią.

– Faaajnie! A ja samochód, co się rozkłada w robota i książki!
– krzyknął Olaf.

Wszyscy wiedzieli, że jego mama pracuje w księgarni i książki dostawał z byle okazji, ale robo-auto to było coś, o czym marzył każdy chłopak w jego wieku.

Anka z kolei wirowała na korytarzu, przytrzymując dłońmi nową sukienkę z falbankami. Z wdziękiem bajkowej księżniczki wskoczyła na schody, ukloniła się i pobiegła na górę. Pani sprzątająca, nazywana Choinką od bezkształtnego, zielonego i ciągnącego się po ziemi swetra, pokiwała głową w zachwycie, po czym znowu zaczęła rozganiać dzieciaki do klas.

Szkoła od rana zapełniała się gwarem i zapachem bigosu z przesiąkniętych nim ubrań. W powietrzu dało się również

odczuć coś w rodzaju żalu z powodu opadającego igliwia z choinek, który niedługo należało uprzątnąć.

I może też z tego powodu kurz, który zebrał się przez kilkanaście dni przerwy świątecznej, umykał czym prędzej spod butów, aby nie dostać się pod miotłę woźnej. Skotłował się z boku, na podeście schodów prowadzących na piętro. Tam, gdzie stała przyklejona plecami do kaloryfera Ewa.

Dziewczyna przykładła dłonie do ust, a po chwili wkładała ręce do kieszeni bluzy. Robiła to trochę, żeby ukryć obgryzione do skórek paznokcie, a trochę dlatego, żeby upewnić się, że nadal ma tam swój prezent. Choć raczej trudno nazwać prezentem coś, co wzięto się samemu, a było przeznaczone dla kogoś innego.

Nie obawiała się, że ktoś o to zapyta. Nie rozmawiała z nikim od momentu, gdy trafiła do tej szkoły kilka tygodni wcześniej. Ogrzewała swoją samotność na przerwach przy kaloryferze, który miał więcej żeberek, niż wszystkie kaloryfery w jej miejscu zamieszkania razem wzięte.

– Fuj, ale śmierdzi – zakrzyknęła Anka, gdy przebiegła obok. Zasłoniła nos ręką, jakby raził ją zapach kiszzonej kapusty, z której jej mama robiła bigos na święta.

– To jest książeczka z tego lego. – Marek przystanął na jednym ze schodów. Znacząco pokręcił głową i pociągnął Olafa na górę – Tam ci pokażę.

Ktoś inny splunął z pogardą w bok, a paćka śliny zabłyszczała niczym pierwsza gwiazdka na niebie w Wigilię. Ewa naciągnęła kaptur na głowę i zakryła niemyte od kilku dni włosy, które błyszczały, jakby ktoś codziennie na nie pluł. Utkwiła wzrok w swoich zdeptanych, niemodnych traperach po starszej siostrze, które, jeśli skrzypiały, to jedynie ze starości. Znali ją z tej bluzy i traperów, w których chodziła codziennie.

Ewy nie znali. Była tu nowa.

– Wszystkiego najlepszego – usłyszała, kiedy w polu widzenia ukazały się czubki glanów.

– Co?

– Przechlapane. Wiem, jak to jest – odpowiedział ten sam głos.

Ewa podniosła wzrok i ściągnęła kaptur.

Naprzeciwko, prawie stykając się butami, stała Magda z równoległej klasy.

– Mam urodziny pierwszego września i zawsze dostaję na urodziny książki i zeszyty do szkoły – Wzruszyła ramionami.

– Ale ja nie mam urodzin – zaprzeczyła Ewa.

– No, ale imieniny miałaś. Najlepszego!

– Dzięki... dziękuję.

– Ja znowu dostałam jakieś książki, trochę kasy i... lalkę – powiedziała ze wstydem Magda. – Czy ja wyglądam na kogoś, kto bawi się lalkami? – Potrząsnęła plecakiem, z którego śmiali się, że wygląda jakby w środku trzymała spadochron. – A ty co dostałaś?

Ewa cofnęła się jeszcze bardziej w stronę grzejnika i z powrotem nałożyła kaptur. Żeberka kaloryfera zdawały się przebijać przez jej chude ciało i tworzyć z nim jedność. Dłonie schowała do kieszeni bluzy i widać było, że zacisnęła coś w jednej z nich.

– Nic.

– Jak to nic? Każdy coś dostał. No mów!

Magda szturchnęła Ewę, a ta nie spodziewając się takiego zachowania koleżanki, odchyliła się do tyłu i uderzyła głową o żelastwo.

– Ała – przyłożyła rękę do bolącego miejsca i pochyliwszy się, masowała pulsujący punkt.

– Co tam masz? – Magda nie pytając o zgodę, sięgnęła do kieszeni bluzy Ewy.

– Zostaw! – krzyknęła Ewa, ale Magda była szybsza i wyciągnęła z jej kieszeni to, co próbowała ukryć przed światem. Ewa zawstydzona się, ale chyba bardziej przykro zrobiło się Magdzie. Szybko oddała przedmiot.

– Wiesz, przyniosę ci książkę. I tak nie będę ich wszystkich czytać. O, i lalkę!

– Nie będę miała gdzie tego trzymać.

– Jak nie chcesz, to nie – burknęła Magda.

Wtedy Choinka zaskrzybiała nad uchem dziewczyn.

– Do klas!

Obróciła się, zamiatając swetrem kurz i kleiste plwociny. Wskoczyła na stopnie i zawirowała jak księżniczka, choć bliżej jej było do trzęsącego się na wietrze świerku.

– Od pożaru domu mieszkamy z rodzeństwem nad stacją u mojej cici. – wytłumaczyła spokojnie Ewa.

Magda szorowała glanem podłogę i przygryzała wargę. Jej pewna siebie do tej pory postawa, schowała się w wolne jeszcze miejsca ogrzewacza i nakryła się kurzową pierzyną.

– Wzięłam te marchewki z koryta dla koni. Nie mam nic więcej dla ciebie. – Ewa wyciągnęła w kierunku koleżanki dłoń z warzywem.

O autorze: z wykształcenia socjolog i magister rachunkowości. Z wyboru przedsiębiorca. Z zamiłowania obserwator rzeczywistości, pasjonat codzienności i uczuciowy meteopata. Pisze opowiadania, haiku oraz pracuje nad powieścią. Publikował w „Szortach”, „Niedzienniku Towarzystw” i „Gazeta Musi Się Ukazać” oraz w antologiach „Nieobecność”, „Zwierzenia zwierza”, „PiszMy-Światy”. Na antenie Radia Klang prowadzi audycję radiową pod tytułem „Pierwsza Książka”.



OBERŻA POD FIKCJĄ

Dorota Żuromska

Trudna do określenia pora dnia. Zimową ciemność rozrzedzają lampki połyskujące na sylwetce renifera ustawionego przed wejściem do oberży. Wewnątrz półmrok wymieszany z zapachem świeżego druku i cynamonu.

–Ti titi, titi ti dźwięczą dzwonki sań. Jak ja nienawidzę tego ti titi. Rzygać mi się chce – powiedział mocno wyleniały gość, siedzący w ciemnym końcu baru z dala od głośnika, z którego sączyła się świąteczna melodia. Opróżniał kolejną szklanekę grzanego wina z goździkami, wzmocnionego islandzką whisky śmierdzącą śledziami.

– Masz już dość – syknął siwobrody Wilk. – Wypijesz jeszcze jedną i twoja głowa zawiśnie nad wejściem do tego przybytku. Na rogach zawisną migoczące lampki, jak na tym delikwencie, co chciał robić karierę w modelingu i teraz sterczy na mrozie pod drzwiami razem z bałwanem i dmuchanym Mikołajem.

Po blacie przebiegło kilka myszy. W biegu zebrały okruchy, jedna z nich zapiszczła w ucho Renifera, któremu od nadmiaru alkoholu mocno zaczerwienił się nos.

– Niech stary się ode mnie odczepi – odpowiedział gryzoniowi. – Dawno powinien się przerwucić na sanie z napędem hybrydowym i dać nam spokój. Za dwa lata będzie dwieście jak dla niego zasuwam. Mam gdzieś starego pierdołę.

– Masz rację – warknął Wilk. – W końcu są zakupy przez internet, paczkomaty, kurierzy UPC. Po co komu Mikołaj, skoro nawet małe dzieci przestają w niego wierzyć.

Przez szeroko otwarte drzwi do knajpy wtargnęło zimno i grupka młodych ludzi. Zsunęli stoliki, przy których rozsiedli się wygodnie i zamówili pizzę z narracją oraz drinki z wena, specjalność zakładu.

Tymczasem do Wilka przysiadła się stara kobieta. Rozwichrzone siwe włosy spięta w elegancki kok. Odlepiła pypeć szpecący jej nos i wyjęła sztuczną szczęką, w której brakowało paru zębów, a te, co były domagały się ortodenty. Wszystko schowała do dużej torby.

– Od Mary Poppins pożyczyłam. Przydatna – zagadnęła, widząc pytający i mocno zamglony wzrok siedzących przy barze. – A ci – zerknęła w stronę nowo przybyłych. – Co tutaj robią?

– Szukają natchnienia

– Cholerne pismaki. – mruknął Renifer. – Tworzą cię, a potem niszczą ci życie.

– Eee, ci są nieszkodliwi. – powiedział Wilk – Piszą o naukowej fikcji, czyli o czymś, czego nie ma.

– A ty to co? Też jesteś fikcja. Babą – stwierdził, patrząc w stronę starszej kobiety. – Straszą tobą dzieci, chociaż bardzo je lubisz.

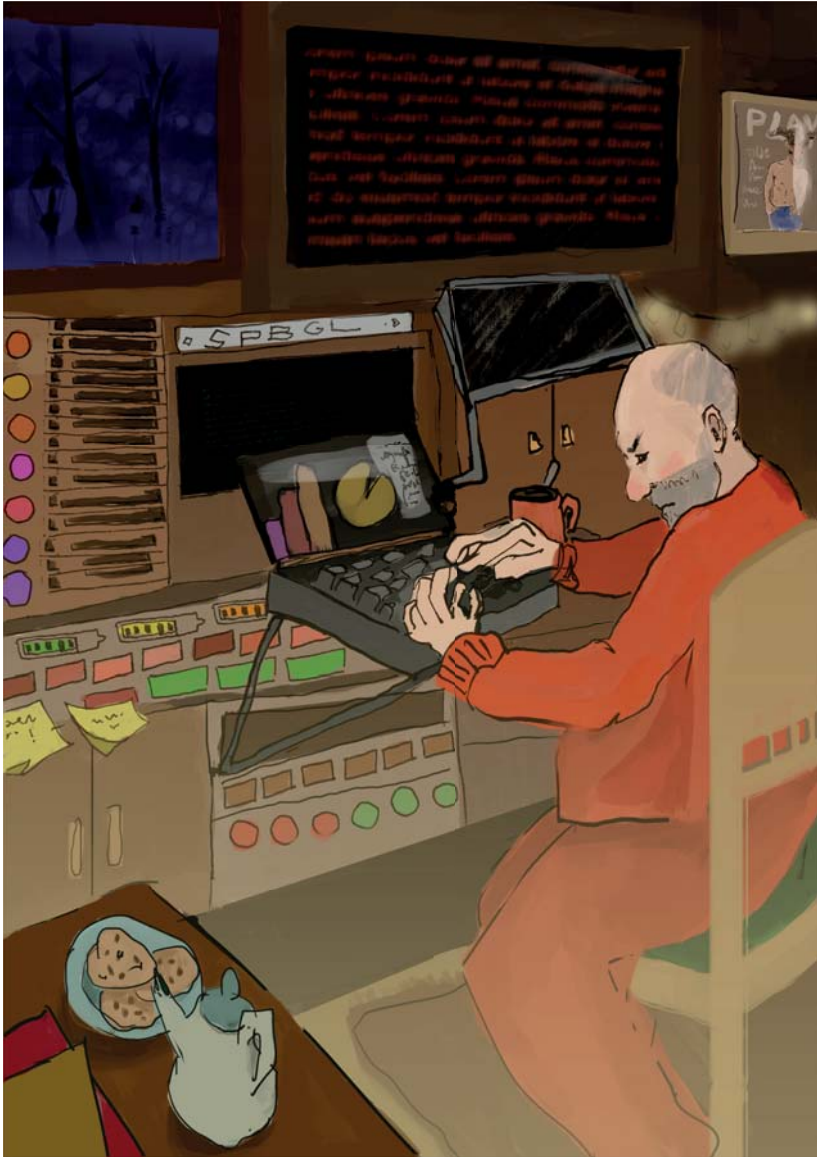
– Ale nie po osiemnastej, wtedy już niczego nie biorę do ust – odezwała się kobieta.

– Ze dwa wieki zaiwaniem na nocnej zmianie w kółko po tej samej trasie. A tobie zepsuli opinię tak, że nawet Biały Kieł ci nie

pomoże. Żresz te dziewczynki w czerwonych kapturkach, aż dostaleś od tego niestrawności.

– Zamykamy – zawołał barman – koniec czytania, idziemy spać.

O autorce: malarka, pisarka. Absolwentka PWSSP dzisiaj Akademii sztuk Pięknych w Gdańsku. Studiowała na Wydziale Rzeźby, Malarstwa i Grafiki Użytkowej. Ukończyła Studium Pedagogiczne i uczyła w szkole plastyki. Obecnie pisze krótkie opowiadania. Otrzymała nagrodę za wiersz wydrukowany w Bluszczu i wyróżnienie za opowiadanie pt. Trzy minuty z antologii Opowiedz o miłości (Wyd. CD Media).



NIGRZECZNI

Grzegorz Bryszewski

Za oknem malowniczo pada śnieg, na horyzoncie widać hasające renifery i dym płynący w górę z kominów niewielkich domków. Lapońską sielankę psują jednak hałasy dobiegające z siedziby Świętego Mikołaja. Ich źródłem jest serwerownia, gdzie mieści się Superkomputer Badający Poziom Grzeczności Ludzkości (SBPGL).

Święty Mikołaj gwałtownie stuka w klawiaturę, klika w kilku miejscach ekranu myszką i wkurzony rzuca w powietrze wyjątkowo obraźliwe obelgi. Po trzydziestym drugim sprawdzeniu wyniku nie wytrzymuje. Podciąga spodnie dresowe, automatycznym gestem czesze swoją brodę grzebieniem od barbera i wychodzi do sali konferencyjnej, gdzie czekają na niego skrzaty.

W powietrzu czuć wyraźne napięcie, które udziela się także skrzatom – część nich zaciska nerwowo zęby, niektórym drgają mimowolnie powieki, nikt nie zwraca uwagi na wykresy z Excela i raporty o niepokojącym trendzie budowy wyjątkowo wąskich kominów.

– Komputer się nie myli – oznajmia Święty Mikołaj. – Wygląda na to, że na całym świecie nikt nie był grzeczny.

Zaskoczone skrzaty nie wiedzą, co powiedzieć. Tylko najbardziej wygadany z nich, Julian, odważnie zwraca się do Mikołaja.

– Jest pan pewny, szefie? Może to jakiś błędny wynik? Chyba warto sprawdzić jeszcze raz – proponuje nieśmiało.

Szef traci cierpliwość.

– Jestem pewny. Sprawdzałem dzisiaj chyba trzydzieści razy, mądralo – odpowiada złośliwie.

Po dłuższej chwili wyraźnie zrezygnowany dodaje:

– Wiecie, co macie robić. Przystawcie linię produkcyjną na różgi.

Skrzaty obserwują w milczeniu, jak ich szef wychodzi do swoich prywatnych komnat i trzaska drzwiami. Kilka oddechów później słychać stamtąd wikińską muzykę, która pojawia się tylko w wyjątkowo smutnych życiowych momentach.

Święta Bożego Narodzenia w dwa tysiące dwudziestym drugim były i dziwne, i smutne. Wiele osób ze złości krzychało w kierunku nieba „bycie grzecznym jest przereklamowane!”, dzieci płakały, dorośli rozpaczliwie szukali w głowach wytłumaczeń sytuacji, które mogłyby przekonać najmłodszych. Tak, wiele osób wykorzystało różgi zgodnie z ich przeznaczeniem i wiele osób (aktywnych i pasywnych) miało z tego powodu dziwnie perwersyjną frajdę.

Dwa lata później wnikliwe śledztwo skrzatów z Włoch wyjaśniło jednoznacznie, że dziwny wynik SBPGL z dwa tysiące dwudziestego drugiego był efektem sabotażu, a prawdziwy poziom grzeczności ludzkości pozostaje bez zmian. Sprawcą był Rudolf Czerwononosy, który przez wiele miesięcy zakradał się do serwerowni i wprowadzał fałszywe dane na zlecenie

fetyszystów – wizjonerów z Nieformalnego Stowarzyszenia Propagującego Klapsy i Biczowanie na Śniadanie.

Okazało się, że nagrodą za sabotaż był wyjątkowo cenny, trudno dostępny krem na problemy skórne. Rudolf stosował go przez dwa miesiące, pozbył się czerwonego nosa, rzucił robotę u Świętego i spełnił swoje marzenie – został Reniferem–playboyem!

O autorze: Gdańszczanin, z wykształcenia geograf, do niedawna zajmował się dziennikarstwem.

Autor kilku opowiadań science-fiction zamieszczonych na portalu Katedra.nast.pl i Fantastyka.pl. Publikował też artykuły w "Nowej Fantastyce" i na łamach portali o grach komputerowych. Zadebiutował "w papierze" opowiadaniem "Drganie mocy" zamieszczonym w antologii "Magia i cała reszta" pod redakcją Elżbiety Żukowskiej, współautor antologii "Kaszubajki" wydanej w formie ebooka i audiobooka w języku polskim i kaszubskim. Na początku 2021 roku został jednym z laureatów Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego "GoLEM z arcydzięgieLEM", którego celem było stworzenie wierszowanego przepisu kulinarnego inspirowanego twórczością Stanisława Lema.



CZERWONE I ZIELONE

Grzegorz S. Reiwer

Próbuję sobie przypomnieć, co było pierwsze.

– Jak widzisz zielone, to idziesz. Jak czerwone, to stoisz. Proste – powiedziała Sylwia. Mogła sobie liczyć mniej lat niż ja, ale wiedziała więcej niż ktokolwiek. No, może nie tyle, ile mama czy tata. Na pewno dość dużo, żeby robić ustami dzióbek za każdym razem, kiedy coś opowiadała.

– A my jedziemy jak widzimy czerwone – odpowiedział Kamil. Udało mu się zdrapać jeden strup z kolana i niepostrzeżenie schować do kieszeni spodenek. Krew z ranki stał poślinionym kciukiem.

Kryliśmy się pod sosną. Śnieg zasypał drzewo z każdej strony. Nad sobą mieliśmy ciemne konary, wokół ściany zrobione z białego, zmarzniętego puchu.

– To głupie. – Zaparła się pod boki Sylwia. – Trzeba czekać.

– Sama jesteś głupia – odparł Kamil, pokazując zaróżowiony język. – Głupia dziewczucha. Ne-ne, ne-ne.

– A ty co myślisz? – spytała, starając się ignorować podskakującego Kamila. Przychodziło jej to z trudem. Musiała

zagryzać wargę, żebyśmy nie widzieli, jak drży. Wbiła we mnie szkliste oczy.

– Jego nie pytaj. – Kamil przerwał dokazywanie i podniósł z ziemi patyk. Przyłożył go do ramienia jak kowboj strzelbę. Wymierzył w moją głowę. – Jego rodzice nie mają samochodu. Nigdzie nie jeżdżą.

– A po co miałbym jeździć? Wszędzie jest tak samo.

– Toś ty nie słyszał o stolicy? – Sylwia nagle wzięła stronę Kamila. Złapała się za twarz i rozdziawiła usta.

– A stolicy-sryce. Czytałem, że mieliśmy dwie i w każdej żyło za dużo ludzi. Dlatego były wojny i wszyscy umarli.

– Kamil, słyszysz? Umarli. A potem pewnie uciekli, nie? – Sylwia zachłysnęła się śmiechem.

– I tyłem ich widzieli – zawtórował Kamil. – Pif-paf.

Sylwia padła na brązowe igliwie, wzbudzając mój śmiech, kiedy zaczęła pogwizdywać i chrapać.

– Żołnierzu! – krzyknąłem, a Kamil stanął na baczność. – Mieliście wrogów zabijać, nie usypiać. Za karę: dziesięć pompek.

Kamil padł na ziemię i zaczął głośno liczyć. Nie szło mu najlepiej. Ręce drżały, a twarz poczerwieniała mu bardziej niż rozgrzany piecyk.

Nagle sobie przypomniałem. Sylwia krzyknęła i chciałem się odwrócić, żeby jej pomóc, ale zniknęła. Po Kamilu też zostały jedynie lekkie wgniecenia w spadłych igłach.

– Kamil? Sylwia? – płakałem. Było mi zimno. Usiadłem, opierając plecy o pień sosny.

Pierwsze było światło zielone. Lampki na choince. Gaśły i zapalały się, rytmicznie do wtóru kolędy. Czerwone przyszło później: alarm, wizg, huk i trzask. Coś ciepłego leje się po mojej ręce, zaciśniętej na twarzy matki. Czerwone i błyszczący w blasku

latarek. Krztuszę się od słonego smaku. Ojciec krzyczy, żebym się nie ruszał i potem już nic nie mówi, nie podnosi się, nie rusza. Jakby chciał mi pokazać co i jak. Więc leżę, słyszę psy, ciężarówkę i krótkie pytania i odpowiedzi. Niczego nie rozumiem, ale leżę i prawie nie oddycham. Wszystko jest czerwone pod powiekami.

Nad sobą mam zawalony dach. Obok zmieciona ze stołu choinka, pod nią prezenty.

Kiedy robi się cicho, rozpakowuję słodycze. Przytulam żołnierza w zielonym uniformie.

Zaczyna dziwnie pachnieć. Nie tylko sosna, nie tylko czekolada.

Wychodzę powoli spod rumowiska.

Świat przestał istnieć.

Nieopodal leżą inni.

Nie ruszają się.

Kamil?

Sylwia?

O autorze: pisarz i scenarzysta. Ćpun konkursowy z nałogiem wzmocnionym nagrodami i wyróżnieniami w Snuj Story Instytutu Literatury (Podróżnik do wynajęcia), im. Mieczysława Wolfke (Siła, która porusza), im. Krystyny Kwiatkowskiej (Opowieść mchu i dębu) oraz wyróżnieniami i publikacjami w antologiach Dzieje się (Przetrwamy), Wszystkie kręgi piekła (Puste Noce), Przesilenie (Sptawik). Z opowiadaniem Dron dołączył do drugiej edycji TwórcyTwórców, a trzy inne opublikował Magazyn Histeria. Píše z pełnym oddaniem scenariusz filmu (Huśtawka) i powieść SF (Ucieczka z Nife).

Od 2017 r. prowadzi warsztaty twórczego pisania w Bibliotece Sopotkiej.

Zaczytany recenzent wewnętrzny i skromny redaktor merytoryczny PTWK.



PREZENTY

Mateusz Szuba

Na początku grudnia Toruń przyozdabiały śnieg i świąteczne dekoracje. Milena pędziła przez starówkę, rzucając okiem na rozwieszane lampki, neony w kształcie dzwoneczków i jemioł. Choinki w witrynach omijała wzrokiem, skupiając się bardziej na tym, co leżało obok.

Święta zbliżały się nieubłagane, a ona wciąż nie kupiła prezentów. Lista osób, które chciała albo, co jest bliższe prawdzie, musiała obdarować, nie stawała się krótsza: rodzice, siostra, szwagier, ukochany siostrzeniec, narzeczony. Najlepsze psiapsiółki: Dorota, Beata, Marysia. Dzieci tej ostatniej: Sławka i Miłka. No i jeszcze ta akcja w pracy na paczki dla ubogich. A trzeba się było spieszyć. Poczta działała wolno, ceny rosły.

Kiedy nadszedł koniec tygodnia, zdobyła się na to, żeby odwiedzić sklepy. Chrupiący pod stopami śnieg nie uspokajał jej myśli, a para z ust nie przystaniała problemów. Wszędzie było albo drogo, albo brakowało tego, co chciała. Często też po prostu nie umiała się zdecydować.

No nic, trzeba będzie iść do Plazy, pomyślała. Znów kawałek na piechotę. A ja jeszcze nic nie jadłam. Jakby na zawołanie,

zaburczało jej w brzuchu. Zignorowała to i pomyślała o jeszcze jednym sklepie, w stronę którego skręciła.

– Kupi mi pani, kupi... - usłyszała.

Za rogiem kamienicy, jakby spod ziemi wyrosła niska postać. Była to kobieta. Nie miała czapki, jej głowę na mrozie okrywały tylko tłuste, kręcone jasne włosy. Miała zniszczoną twarz, a jedno oko było jakby mniejsze. Gdy kobieta znów się odezwała, Milena zauważyła duże ubytki w jej zębach.

– Kupi mi, kupi... jeść... - odezwał się chrapliwy głos.

Milena próbowała pozbierać myśli. Odruchowo rozejrzała się po ulicy. Tuż obok był sklep spożywczy. Po krótkiej chwili wahania weszła do niego. W chłodzonej witrynie, przyozdobionej w rogu choineczką, leżały kiełbasy, szynki, sery.

Co tu wziąć? Czym ona się naje? Zastanawiała się Milena. W końcu wybrała kawałek najtańszego sera, wzięła jeszcze dwie butki, zapłaciła i oddała zakupy kobiecie na zewnątrz. Ta spojrzała do siatki i powiedziała:

– Tylko serek? Tym się nie najem...

Milena zmroziło. Wargi jej zadrżały. Pragnęła stąd iść, uciec jak najszybciej. Policzki ją szczypały, bynajmniej nie tylko od mrozu. Chciała wreszcie sięgnąć do portfela, dać tej kobiecie dychę, dwie... stówę.

Ale przecież nawet jej nie wpuszczą do sklepu, pomyślała.

Wróciła czym prędzej do sklepu. Nakupowała chleba, szynkę, sera. Podskoczyła jeszcze do pobliskiej kawiarni i kupiła gorącą herbatę. Po czym oddała to wszystko, w wielkiej sklepowej torbie, kobiecie na ulicy. Ta wzięła siatkę do ręki. Bez słowa. Spuściła głowę, odwróciła się i zaczęła oddalać się.

Milena patrzyła za nią chwilę, wreszcie ruszyła w kierunku domu. Westchnęła z ulgą. Miała spokój, a i coś dobrego zrobiła. Dała prezent...

Stanęła jak wryta. Na jej twarzy zaczęły tańczyć grymasy: skrzywiły się usta, podniosły powieki. Widać było, że toczy w sobie jakiś konflikt. Nagle obróciła się na pięcie, prawie przewracając się na śliskim bruku i pobiegła w stronę kobiety. Z każdym krokiem utwierdzała się w swojej decyzji: wziąć dane tej kobiety, miejsce zamieszkania i wciągnąć ją na listę potrzebujących w akcji w pracy! W końcu tego dnia poczuła radość.

Nawet nie wiedziała, że zrobi w ten sposób być może najlepszy prezent. Wszystko było w jej rękach. I nogach.

O autorze: ur. 1992, historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Gdańskiego. Autor artykułów naukowych i popularnonaukowych. Lubi pisać opowiadania i wiersze, w tym ostatnio haiku. Miłośnik ojczyzno Pomorza.



DOBROMIR I KOMNATA DZIKICH AKROBACJI

Monika Sarzyńska

Przedpokój wypełniał zapach wolno parującego wina, w którym pomarańcze próbowały nieudolnie wykonać pływanię synchroniczne. Michael Buble przenikał to słodkie powietrze jeszcze słodszy dźwiękiem.

Matka i jej gust muzyczny. Żenujący.

Dobromir zeskoczył wdzięcznie z ostatniego schodka, jak to on, i kroczył nieśpiesznie w stronę ogrzanego jaskrawym ciepłem salonu. Ledwo słyszalne uderzenie miękkich poduszek o mięsisty czerwony dywan. Bury ogon zakończony białą, jak reszta osoby Dobromira, plamką chwiał się majestatycznie w rytm zgrabnych kroków, przywodząc na myśl skojarzenie z lemurem z Madagaskaru bardziej niż z kotem domowym.

Matka z Ojcem odprawiali w kuchni kulinarne akrobacje z gatunku tych sezonowych. Na co dzień gotowali eksperymentalne pasze z tak zwanych innych kontynentów, od których dziwnymi przyprawami cuchnął dom pod sam dach, ale dziś z okazji świąt wbili sobie do łbów pieczenie pierników w kształcie lokalnie występujących zwierząt.

Rzeczywiście, trudno o lepsze zajęcie na wieczór.

Dobromir omiół zniecierpliwionym spojrzeniem dwie postacie pochylone nad stołem w sezonowych, a jakże, fartuchach, po czym bezszelestnie poześlował po Czerwonym Morzu przedpokoju jak biały okręt.

Komitet powitalny dla Jego Puszystości Księcia Wybiegu, składający się z leciwego szarego dachowca Wasyla oraz nudnego i spolegliwego kundelka Borysa, czekał w okolicy kominka. No i ona – Pani Igielska – rozpanoszona na pół pokoju, opasała damesa w zielonej sukni balowej, obwieszona od stóp do głów kołyszącą się biżuterią. Roztaczała w promieniu trzech metrów intensywny zapasek perfum marki Leśny Poranek.

- Tylko nie znowu ty... – westchnęła zrezygnowana Pani Igielska. Z jej malachitowej sukni posypało się na parkiet kilkanaście nitek. – Co ja z tobą mam, Dobromirze! Borys, widzisz tę zaciętą mordę? Nawet poczciwego Wasyla zdeprawowałaś, szatanie! – Jej piskliwy głos wzbił się na wyższe tony, a zbroja złotych broszek zatrzęsała się od wzburzenia.

- Hehehe – zachichotał złowieszco Dobromir. – Uspokój się, histeryczko! Odstawiła się jak szczur na otwarcie kanału i dziwi się, że na nią poluję. Rusz no to swoją koronę czasem! Po co ci pięć ton błyskotek? Czemu takie skąpiradło z ciebie, że nawet jednym kolczykiem nie chcesz się podzielić?

Wasył zawtórował mrocznym chichotem przeciągniętego na ciemną stronę mocy ucznia.

Borys pokręcił smętnie głową, rozważając jak to nietrafione imię Matka i Ojciec nadali tej na pozór uroczej śnieżnej kulce niegodziwości.

- O nie, o nie, o nie! Nikczemniki! – Pani Igielska podniosła szklane oczy do sufitu, a następnie w desperacji zwróciła je

w stronę leżącego u jej stóp Borysa, który bezradnie obserwował rozgrywający się przed nim dramat.

Dwa koty, nie zważając na protesty Pani Igielskiej, pełzły pod falbankami jej obszernej spódnicy. Obliczały kąt skoku i trajektorię lotu, przy uwzględnieniu zagrażającej takim manewrom siły grawitacji. Cztery miękkie poduszeczki łap Dobromira wylądowały na oparciu fotela, a następnie na regale z książkami między paprotką a skandynawską serią o Lisbeth Salander. Tam biały puchaty asasyn prężył się, gotowy do kolejnego skoku. Wzrok utkwiał w wyjątkowo ładnej brokatowej kuli.

Tej najlepszej, tej jedynej. Oj tak.

Ewidentnie ta kulka wygrała casting na ofiarę dzisiejszego polowania.

Szary Wasyl, nie do końca jeszcze biegły w sztuce szerzenia zniszczenia, czekał na rozwój wypadków, lustrując migotliwe kształty poupychane w aksamitny gorset.

Dobromir pofrunął!

Nicznym kometa przeciął powietrze, chwycił szponem w locie upatrzoną zdobycz, po czym zaplątał się w zieloną suknię.

Wykonał wściekły piruet, wyzwoleńczy taniec i wylądował wraz z Panią Igielską na podłodze. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Wasylek! Dobrusio! – w progu stanęła Matka z rękami oblepionymi piernikowym ciastem. Dobromir legł na plecach. Łapki rozkosznie zadarł do góry, przewracając ślepiami rozwartymi w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia.

Patrzcie teraz i ucztujcie się od mistrza.

Zamiauczał najśłodszy głos we wszechświecie, co usłyszawszy Matka – podatna na potulny, świergotliwy pomruk – rozczuliła się co niemiara.

- Mysiaku Słodziaku, uważaj na siebie! No popatrz co zrobiłeś, ty niegrzeczny!

Moment później miękkie, pachnące futerko poszybowało w ramionach Matki, a na różowy nosek posypały się pocieszające buziaczki.

- To już trzeci raz w tym tygodniu – ubolewała nad swym losem Pani Igielska. – Sukienka pognieciona, wisiorki poszarpane, bransoletki potłuczone.

Czekała na Ojca, który zaraz na pewno uratuje sytuację.

- Au revoir, ziomale! – rzucił na odchodne Dobromir z szelmowskim uśmieszkiem. – Jutro widzimy się w tym samym składzie.

Matka poniosła „mysiaka” do kuchni, żeby ośłodzić to przykre zajście przy pomocy smacznej saszety. Biała kropka na końcu ogona zamaszystym ruchem przecięła powietrze. Puchaty łeb odwrócił się jeszcze raz w drzwiach i zmrużone złote ślepia oceniły z zadowoleniem rozmiar zniszczeń jako satysfakcjonujący.

Niech no tylko pozawieszają z powrotem te błyskotki. Niech no tylko...

O autorce: absolwentka filologii angielskiej, z zamiłowania joginka i amatorka dobrych książek oraz filmów. Kocha zwierzęta, zwłaszcza kotkę o imieniu Stopka, od której Dobromir zapożyczył swoje osobliwe umaszczenie (a wredny charakterek, zupełnie niezwiązany z żadnym istniejącym kotem, dopisała mu autorka). Lubi przyrządzać wegetariańskie jedzenie, podróżować i spędzać czas w lesie. Chciałaby poznać Ricky’ego Gervaisa i Olgę Tokarczuk.



ŚWIĘTY NIE TAKI ŚWIĘTY

Natalia Dępczyk

Wziąłem głębokiego bucha skręta, którego wcześniej zabrałem elfowi za łamanie regulaminu pracy. Poczutem w ciele nagłe odprężenie i spokój. Właśnie tego potrzebowałem w tak nerwowy dzień.

Do świąt zostało tylko kilka dni, a jeszcze nic nie było gotowe.

Elfy, te małe gnojki, z roku na rok robiły się coraz bardziej problematyczne. W ostatnich tygodniach założyły nawet związek zawodowy. Elmo, który lewo odrastał od ziemi i przyniósł do roboty skręty, miał czelność mi się odgrażać, więc obciąłem mu dniówkę i dałem naganę.

Chwilowo miałem spokój. Tylko na jak długo?

Dolałem sobie wiśniowej naleweczki z kontrabandy skonfiskowanej miesiąc wcześniej i odpaliłem drugiego skręta.

Z zamyślenia wyrwało mnie stukanie do drzwi.

– Czego? – warknąłem z niezadowolaniem.

Drzwi otworzyły się na oścież i w progu stanęła najmniej miła mi osoba: moja szefowa.

Wróciłem do pysznej wiśniówki i zignorowałem jej obecność.

– Jesteś zwolniony – powiedziała beznamiętnie Dobra Wróżka, łopocząc figlarnie brokatowymi skrzydełkami.

Wzruszyłem ramionami.

Znowu to samo. Chyba miała TE dni.

– Nie można zwolnić Świętego Mikołaja.

– Jak widać można! Zarząd nie pozostawił mi wyboru, mam wykopać cię stąd natychmiast. Jesteś dyscyplinarnie zwolniony! Masz to na mailu, którego nigdy nie czytasz.

Machnęła swoją magiczną różdżką i uniosłem się w powietrze, a z rąk niemal wypadła mi szklaneczka z nalewką.

Wybałuszyłem oczy z zaskoczenia.

– Niewdzięcznicy!

Swoje serce zostawiłem w tej pracy. Całe życie jej poświęciłem!

Dopiłem resztę trunku niezwykle poruszony sytuacją.

Dobra Wróżka wiele razy powtarzała mi takie bzdury jak dzisiaj. Mówiła, że zwolni mnie, że wciąż podnoszę jej ciśnienie, że jestem tylko problemem, z którym nie potrafi sobie poradzić. Nic dziwnego, że w końcu przestałem ją ignorować i po prostu przestałem słuchać jej bezsensownego narzekania. Sama była winna tej sytuacji.

Dobra Wróżka powoli przeszła przez halę produkcyjną prezentów, a ja na magicznym łańcuchu za nią.

Elfy, te małe gnojki zaczęły wiwatować i śpiewać wesolo.

Zero wdzięczności.

– Łajdaki!

Elmo chwycił biustonosz i zaczął nim wirować w powietrzu.

– Dziadku, co tutaj się dzieje? – krzyknęła moja już prawie dorosła wnuczka, jedyna istota o prawdziwie czystym sercu i umyśle niezmałym myśleniem.

– Pomóż mi, moja kochana! – wrzasnąłem desperacko, naiwnie łapiąc się myśli, że uda mi się zapakować Dobrą Wróżkę do paczki i wystać ją na drugi koniec świata, rozwiązując problem zwolnienia.

– Spokój! – zarządziła moja była szefowa, patrząc w głąb hali z miną prawdziwej wiedźmy. – Wspaniale, twój następca jest wcześniej niż myślałam. W sumie... Jeżeli przekażesz mu swoje obowiązki, pomyślę, żeby dać ci trzymiesięczną odprawę. No i nawet na dokumentach wypiszemy rezygnację za porozumieniem stron, zamiast zwolnienia ze względu na niedotrzymywanie swoich obowiązków. Pamiętaj, że z dyscyplinarką nie dostaniesz fuchy nawet na króliczka wielkanocnego.

– Jesteś odrażająca. Nienawidzę cię.

– Zgadzasz się? – Dobra Wróżka uśmiechnęła się na widok nadchodzącego młodzieńca o śnieżnobiałym uśmiechu.

Postawiła mnie pod ścianą, podła jęzda.

Spojrzałem z ukosa na mojego następcę i замуrowało mnie.

Dwa metry samych mięśni i złota broda przystrzyżona na drwala. Moja wnuczka aż świsnęła z nagłej ekstazy młodzieńcem. Tego już za wiele, pomyślałem z zazdrością, spoglądając na zarys seksownych mięśni podkreślonych przez obcisłą koszulkę wyglądająca jak część kostiumu Mikołaja z sex shop’u.

Chciałem wyjść, odejść stąd czym prędzej i skończyć tę farsę.

Niech sobie radzą beze mnie!

– Radźcie sobie beze mnie, frajerzy – powtórzyłem na głos.

Zabrzmiało to jeszcze lepiej niż w moich myślach. Teraz pozostawało mi poczekać, aż zarząd się złamie i przywróci mnie na stanowisko.

Jak tam chcesz – zaśmiała się mrocznie Dobra Wróżka i machnęła różdżką.

Szlag. Zapomniałem, że nie da się z nią negocjować w TE dni.

Prawdziwy, wstrętny, korporacyjny demon bez serca, a nie żadna wróżka.

Wyleciałem z impetem za drzwi hali prezentów świątecznych, które zamknęły się za mną z hukiem.

Ze ściany odpadła tabliczka z moim zdjęciem.

Nie mogłem w to uwierzyć. Pięknie wyszedłem na tym zdjęciu, a teraz leżało sponiewierane na chodniku.

– No i...

Myślałem, że będzie walczyć o moją pomoc. Nie spodziewałem się, że tak bezceremonialnie mnie wyrzuci za drzwi. Zupełnie, jakbym nic dla niej nie znaczył. Nie żeby mnie to obchodziło.

Usiadłem na skraju chodnika z obrażoną miną, żeby było jasne, że sytuacja na wskroś mnie dotknęła. Chciałem, żeby Dobra Wróżka poczuła wyrzuty sumienia jak mnie zobaczy. Wiedziałem, że zaraz ochłonie, przyjdzie i mnie przeprosi. Zawsze wracała. Jednak czas mijał, a ona się nie pojawiała.

Nawet moja wnuczka nie wyszła za mną. Chociaż w jej przypadku, to obawiałem się, że nawet nie zauważyła mojego zniknięcia. Ostatnie, co zobaczyłem, kiedy leciałem w stronę drzwi wyjściowych, to zachwył młodzieńca na widok mojej wnuczki. Przerazało mnie to.

Zostałem sam pośrodku ulicy. Sam jak palec.

Nie zasłużyłem sobie na taki los.

Tyle lat ciężko pracowałem, żeby wszyscy dostali na czas prezenty. Ciepłe kaptcie, nowe, stylowe skarpety co rok, piękne swetry w szykowne wzorki czy wspaniałe zestawy intensywnych kosmetyków z marketów. Wszystko to było

moim dziełem i prawdziwym dziedzictwem. Nikt mi tego nie zabierze i nie pomniejszy zasług.

Nagle drzwi się uchyliły, zobaczyłem moja byłą szefową i odetchnąłem z ulgą.

Trochę to trwało, pomyślałem z pretensją i potarłem skostniałe palce. Pewnie mój następca już nawalił i chcą, żebym wrócił.

Z trudem powstrzymałem pełen satysfakcji uśmiech, kiedy nagle mina mi zrzedła.

Dostrzegłem, że karton, który z trudem dźwigała Dobra Wróżka jest pełen moich rzeczy zebranych z biurka.

Wyciągnąłem trawkę i zapaliłem ją, żeby ukoić skołatanę nerwy.

– Wymieniłaś mnie na młodszy model! – oświadczyłem z wyraźnym wyrzutem, a ona położyła mi karton pod nogi i sapnęła ciężko.

– Miałaś z milion szans, żeby się poprawić... Nie chce mi się powtarzać. Wszystko masz na mailu. Muszę wracać. – Jak zwykle nerwowo odmówiła bucha. – No i lepiej popilnuję twojej wnuczki, żeby nie popełniła jakiegoś głupstwa, którego potem będzie żałować.

– Racja! Nie chcę, żeby akurat on dołączył do mojej rodziny. Proszę cię, dopilnuj tego.

Wywróciła oczyma w ten swój denerwujący sposób.

– Jak zawsze tylko o sobie. Nie wierzę, że przez tyle lat cię nie wykopałam i broniłam, ryzykując swoją karierę.

– Przecież myślę o swojej wnuczce, a nie o sobie.

Pokręciła głową, przygryzając wargę.

– Idę. Do zobaczenia po świętach – wyszczerzyła zęby w złośliwym uśmiechu.

– Co będzie po świętach?

– Skończą ci się pieniądze i przyjdiesz prosić mnie o pomoc.
– Nie przyjdę! – warknąłem zły, bo wiedziałem, że może mieć rację. – No dobra, to jak jesteś taka mądra, to powiedz mi, co mam zrobić.

– Cóż... Mogę zapomnieć o tym zwolnieniu dyscyplinarnym. Wróc ze mną, wyszkol następcę i złóż wniosek o wcześniejszą emeryturę. To najlepsza opcja dla ciebie. Pomogę ci z formalnościami, to dużo lepsze niż zwolnienie... No i wybacz, że tak cię bezceremonialnie wykopałam. Jakoś podniosłeś mi dzisiaj wyjątkowo ciśnienie. Poza tym mam TE dni.

– Od razu wiedziałem – wtrąciłem się, ale nie zareagowała i udawała, że mnie nie usłyszała.

– Z niezmierną niechęcią przyznaję, że przyda mi się twoja pomoc. Jak zawalę te święta, to zarząd też mnie zwolni. Zastanów się, przecież oboje skorzystamy na współpracy... Zgadzasz się? Proszę.

Czułem, że próbowała manipulować mną i to bez mojej przyjemności. Pewnie od początku to zaplanowała. Jakże mnie ona denerwowała. I jeszcze tyle czasu kazała mi na siebie czekać. A jej przeprosiny były marne.

Jęcza!

– Dobra, niech będzie – powiedziałem w końcu z wyraźnym bólem i niechęcią. – Ale musisz mi załatwić naprawdę wysoką emeryturę, inaczej będę cię nękał do końca życia.

– Dobrze. Niech będzie, wygrałeś... No więc, święta znów uratowane.

Czy wyczułem ironię w jej głosie? Mówiła to właściwie co roku, przypominałem sobie nagle.

Poczułem dziwną nostalgię. Przed oczami pojawiły się wspomnienia, niezliczona ilość kryzysów, które pomogła mi

przewyciężyć. Zawsze mogłem na nią liczyć. A teraz się mnie pozbyła bez serca.

– To naprawdę już koniec wszystkiego? Niedługo pożegnamy się na zawsze?

Nie obchodziła mnie ta wcześniejsza emerytura. Nie wybierałem się na nią. Wciąż byłem w sile wieku i całkiem sprawny fizycznie i fizjologicznie, jak najlepsze wino.

Nie przyznałem się, że zgodziłem się pomóc mojemu następcy tylko po to, żeby też jej nie zwolnili. Zdecydowanie nie chciałem, żeby pomyślała, że jest dla mnie przyjaciółką, czy coś takiego. Jeszcze zmieniałaby o mnie zdanie i pomyślała, że zmiękłem na stare lata.

Niedoczekanie! Wciąż byłem twardy jak skała!

Weszliśmy z powrotem na halę.

– No dobra, młokosie, czas na prawdziwą robotę – krzyknąłem hardo.

Zamurowało mnie.

Strajkujące od dwóch tygodni elfy pracowały. Nawet Elmo, zamiast palić trawę w ubikacji, stał obok nowego Świętego Mikołaja, koordynując pracę pakowania prezentów. Wszystko ruszyło z wielką parą i nie było widać porannego opóźnienia.

Nowy podszedł do mnie z paczuszką z wielką, czerwoną kokardą.

– Staruszkule! Ogarnąłem ten syf, nic się nie martw. Możesz odpocząć. Użyłem algorytmu opracowanego przez sztuczną inteligencję i poprawiłem przyznawanie prezentów. Koniec z niechcianymi prezentami. Forever. Szał ciał, co? No i ... Mam dla ciebie prezent, dziadziuniu. Trochę dziwne, ale algorytm wskazał, że to będzie najlepsze.

Odpakowałem zawiniątko.

– Merry Christmas, staruszkule!

Zobaczyłem nalewkę wiśniową mojej ulubionej marki i oczy mi się zaszklily.

Odkręciłem nakrętkę i wziętem dużego łyka.

– Dla ciebie szefowo też coś mam – powiedział nowy Mikołaj nagle jakoś tak nieśmiało. – To jeszcze bardziej dziwne dla mnie, ale... – zawahał się i dodał ciszej: Algorytm był jednoznaczny.

Podał jej paczuszkę z wielką różową kokardą, w której zabrzęczało szkło.

– Ej, staruszkule – Dobra Wróżka wyszczerzyła zęby, kiedy rozpakowała prezent. – Napijesz się ze mną?

Wyciągnęła dwa kieliszki i zaświeciły się jej oczy.

– Naprawdę chciałybyś? – zapytałem, czując się jak idiota.

– Tak – odparła cicho, opuszczając wzrok na czubki butów.

– Mówisz serio?

– Jaka szansa jest, że algorytm się pomylił z prezentem? – Spojrzała uważnie na nowego Mikołaja, jakby próbując przeskanować go wzrokiem.

– Nie ma szans szefowo, żeby się pomylił. Sprawdziłem wszystko pięć razy, zanim...

Odwróciła się na pięcie od nowego i stanęła bardzo blisko mnie.

Wręczyła mi kieliszek. Uniosłem brwi, próbując cokolwiek z tego zrozumieć. Patrzyłem na nią podejrzliwie.

– Nie widziałem, żebyś kiedykolwiek piła w pracy.

Cisza.

Zacisnąłem szczękę, aż poczułem ból niedoleczonego zęba. Czekałem na jadowitą ripostę w dziwnym napięciu.

– No widzisz, dla ciebie zrobię wyjątek.

Otworzyłem szeroko usta, aż zabrakło mi słów.

– Wesołych Świąt, staruszkule. Wesołych Świąt, szefowo – nowy Mikołaj zaczerwienił się nagle i odszedł pospiesznie.

– Będziesz się strasznie nudzić z nim – powiedziałem, nie odrywając oczu od Dobrej Wróżki.

Nie odwróciła tym razem wzroku.

Czułem, jak nalewka rozgrzewa mi krew. A może to nie była nalewka?

– Teraz się nie nudzę – Dobra Wróżka zaśmiała się perliście, a ja spojrzałem na nią, jakbym widział ją po raz pierwszy.

Wydawała się taka piękna.

Niepewnie odwzajemniłem uśmiech.

Coś się zmieniło.

Po raz pierwszy w życiu poczułem magię świąt.



DZIEWCZYNA W RÓŻEJ PIŻAMIE

Natalia Dępczyk

Z głośników roznosiła się zapętlona świąteczna piosenka. Ola, rudowłosa dziewczyna w różowej, dzianinowej piżamie tańczyła niezgrabnie obejmując pękaty brzuch i głośno fałszowała przekręcając słowa Mariah Carey. Puchaty perski kot spoglądał na nią jakby z dezaprobatą i miauknął przeciągle, domagając się uwagi.

– Nie dostaniesz żadnego smaczka, musimy zacząć dbać o linię – zachichotała Ola.

Przgoniła kota ze stołu. Znow objęła rękoma ciężowy brzuch, drepcząc w rytm melodii. W zamyśleniu przycupnęła przy pachnącej lasem choince. Jej wzrok omiółł złote łańcuchy oraz wymyślne bombki, po kolei zatrzymywał się na wszystkich pustych miejscach między gałęziami. Wydęła usta w niezadowoleniu.

Wydała na ozdoby znacznie więcej niż powiedziała Kamilowi, a wciąż wydawało się, że czegoś brakuje. Chciała, żeby pierwsze święta w ich nowym domu były idealne.

Szkoda, że Kamil nie umiał tego zrozumieć, westchnęła ze złością.

Ola rozpamiętywała bez końca poranną kłótnię. Rozpoczęła się, kiedy znowu bezskutecznie poprosiła o to, żeby narzeczony zszedł do piwnicy i poszukał kartonu ze świątecznymi dekoracjami.

Potrzebowała tylko pięknych, ręcznie malowanych bombek i cudnych ozdób po babci. Zawieruszyły się gdzieś w piwnicy pomiędzy innymi, niepodpisanymi i nierozpakowanymi od przeprowadzki kartonami.

Ola od kilku dni regularnie, ale z coraz większym wyrzutem wspominała o tym swojemu narzeczonemu, ale ten nigdy nie miał czasu. Do tego wszystkiego jej samej zabronił schodzić po niewyremontowanych, drewnianych schodkach.

Ola jednak nie wyobrażała sobie pierwszych świąt w nowym, wymarzonym domu bez złotej gwiazdy na czubku choinki. Kamil nie potrafił zrozumieć jej fanaberii i kupił z marketu tandetny szpikulec na choinkę. Od razu go wyrzuciła.

Potem od słowa do słowa, nagle zaczęli na siebie krzyczeć. Kamil wyszedł, trzasnąwszy drzwiami i zostawiając niedopitą kawę. Odjechał sprzed ganka z piskiem opon.

Ola zdążyła przystroić całą choinkę, a on ciągle nie wracał. Wydawało się, że czeka na Kamila całe wieki. Zaczęła się martwić.

Odetchnęła, kiedy usłyszała znajomy warkot silnika. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak stary opel wjeżdża na podjazd. Już się nie złościła

Poza tym zawsze przecież mogę zrzucić winę na hormony, usprawiedliwiała się w duchu.

Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że narzeczony wyciąga z auta wielki bukiet czerwonych róż. W tej samej chwili przestała myśleć o niedoskonałej choince i brakujących bombkach. Pomachała mu, ale jej nie dostrzegł.

Klucze zazgrzytały w drzwiach.

Ola usiadła na kanapie i próbowała przyjąć atrakcyjną pozę, chociaż wiedziała, że musi wyglądać przekomicznie. Czekwała na przeprosiny.

Kamil wszedł do salonu i udawał, że jej nie widzi.

– Jesteś gotowa? Moi rodzice pytali czy będziemy wcześniej na Wigilii – zawołał w eter, obracając się tyłem do niej.

Wyglądał się bez sensu, pomyślała Ola, zaciskając usta w rosnącej irytacji.

Kamil nadal udawał, że jej nie widzi, schował bukiet róż za swoimi plecami, przed samym jej nosem.

To nie jest śmieszne – warknęła Ola, odsuwając się na drugi koniec kanapy.

Patrzyła, jak wchodzi na piętro. Po chwili wrócił bez słowa. Sięgnął po komórkę i wyłączył zapętlona piosenkę „All i want for christmas is you”. W domu zapanowała niepokojąca cisza.

Ej, zostaw to – powiedziała już całkiem zła za te wyglupy.

Czekwała na przeprosiny, ale Kamil nie zareagował.

Wrócił na korytarz i zauważył niedomknięte drzwi od piwnicy.

– Ola, do licha, przecież mówiłem... – urwał w pół zdania. – Ola! Na Boga, Ola. Nie, nie, nieeee...

Rozniósł się jego krzyk i płacz.

Dziewczyna podniosła się z kanapy, a kot natychmiast wskoczył na jej miejsce. Nie było jej do śmiechu, ale czuła niezrozumiały opór przed zbliżeniem się do piwnicy

– Kamil – pisnęła. – Co to za głupie żarty? – Zbliżyła się do drzwi prowadzących w dół. – Mam tego dość.

Spojrzała wątpliwie na drewniane, spróchniałe stopnie. Żarówka migotała niewyraźnie ledwie rozjaśniając mrok.

Łkanie z głębi piwnicy nie ustawało i zaczęła się bać.

Usłyszała dźwięk wybranego telefonu na głośniku i łamiący się głos Kamila.

– Pomocy, moja narzeczona. Ona nie oddycha... Chyba spadła ze schodów. Krew...

Co on wyprawia, pomyślała Ola z rosnącym przerażeniem. I zeszła ostrożnie po skrzypiących schodach. Jeden ze stopni okazał się połamany, a prowizoryczna drewniana barierka wyrwana.

Zastygła w bezruchu.

Kamil pochylał się nad dziewczyną w różowej piżamie. Wokół mieniły się pokruszone kawałki kolorowych bombek, które wypadły ze zgniecionego kartonu.

Ola podeszła bliżej i dostrzegła, że szyja nieruchomej dziewczyny wygięta się pod nienaturalnym kątem. Kamil zawył przeraźliwie jak zwierzę.

– Kamil, to nie ja. Ja tutaj jestem przecież... – podeszła do narzeczonego, żeby nim potrząsnąć, ale nie mogła go chwycić.

Jej ręce przeniknęły przez jego ciało.

Próbowała wołać go, machała przed nim dłońmi, ale jej nie dostrzegał. Tulił kobietę łudzaco podobną do niej i ocierał własne łzy.

Przyjechała karetka, ratownicy zabrali przykryte czarną płachtą ciało, a otępiąły Kamil pojechał razem z nimi.

Ola została sama.

Puchaty kocur miauknął niezadowolony, chcąc przypomnieć o swojej obecności. Próbował otrzeć się o nogi dziewczyny, ale tylko przeniknął przez pustkę i uciekł zdezorientowany.

Usiadła obok pachnącej lasem choinki. Poczwała napływające łzy, ale zatarty się tak, jak moment sprzed chwili. Pozostało jedynie wrażenie, że coś ważnego jest w piwnicy, ale nie była pewna co.

Spojrzała na puste miejsca na świątecznym drzewku i nagle przypomniała sobie o kartonie ręcznie malowanych bombek po babci. Postanowiła zejść w dół, tylko po to, żeby zmienić zdanie.

Przecież Kamil obiecał, że je znajdzie i zawiesi, przypomniała sobie i postanowiła, że wygarnie mu to, jak tylko wróci do domu. Wyrzała zniecierpliwiona za okno.

Długo go nie było, westchnęła stęskniona i położyła ręce na ciężowym brzuszku.

Świąteczna piosenka ucichła.

Kiedy?

Przerażała ją ta cisza.

O autorce: rocznik 1990 z fantastycznym poczuciem humoru. Banksterka i korposzczur z niemałym LVL doświadczenia. Miłośniczka ciekawych analiz danych - co miesiąc płacą jej za to, chociaż mogłaby to robić za darmo dla samego fanu (na szczęście jej szef o tym nie wiedział przy zatrudnianiu). Fanka opowieści ze szczęśliwym zakończeniem. Oglądała "Władcę Pierścieni" niezliczoną liczbę razy. W wolnym czasie uwielbia uczyć się nowych rzeczy, pisać pełne emocji historie i galopować po lesie.



WIZYTA
Paweł Homma

Ryszard skończył ładować zmywarkę. Sięgnął po sztucce, które mył jedynie ręcznie z obawy przed uszkodzeniem lustrzanie gładkiej srebrnej powłoki. Nie było ich dużo. Wigilijną kolację zjadł w doborowym towarzystwie siebie samego. Pstrąg z miodem i orzechami, jego ulubiony barszcz z uszkami i ciasto czekoladowo–morelowe, którego smak wciąż utrzymywał się w ustach Ryszarda, tworząc doskonałą parę z aromatem koniaku, którym ciasto zostało popite.

Przez dźwięk rozpryskującej się w zlewie wody przebił się dobiegający z salonu trzask. Z kominka spadła ramka z oprawioną przed dwoma laty nagrodą dla najlepszego w województwie sprzedawcy kombajnów. Zdobyta przez Ryszarda tuż przed przejściem na długo wyczekiwaną emeryturę.

Ryszard wrócił do pokoju i odłożył trofeum na miejsce.

– Cholera jasna – powiedział komin.

– Kominie, zamknij się – upomniał komin Ryszard, po czym przypomniał sobie, że przecież nie jest szalony.

W palenisko, nie używane już od dawna, spadł Gwiazdor.

- Jednak oszalałem – stwierdził Ryszard.
- Zobacz, ile muszę przez Ciebie znosić – odezwał się Gwiazdor. – Gdzie choinka?
- Nie mam choinki, ale za to mam jemiołę – Ryszard wskazał na roślinę przymocowaną do kinkietu.
- Myślisz, że przyszedłem się tu całować? Nie. Przyszedłem, bo każdy musi dostać dziś prezent. Pracowałem setki lat nad tym, aby wyręczali mnie w tym bliscy, znajomi, organizacje charytatywne. Myślałem, że sprawę mam już z głowy.
- Ryszard miał z początku zupełnie naturalne wątpliwości, ale po jego skamieniałym sercu rozlała się równie organiczna pewność, że oto stoi przed nim prawdziwy Gwiazdor.
- Czyli... – zaczął Ryszard – jestem jedynym Polakiem, który nie dostał od nikogo prezentu?
- Polakiem? Ha! Jedynym człowiekiem na całutkiej kuli ziemskiej!
- Niemożliwe!
- Otóż zupełnie odwrotnie. Jak już mówiłem. – Gwiazdor usiadł w fotelu. – Opracowuję ten system od wieków. Gdy sklep wysyła ci maila z dziesięcioprocentową zniżką na święta w prezencie, odhaczam dostarczony prezent. Ekspedientka życzy „wesółych świąt”? Nie ma lepszego prezentu niż życzliwość! Ten system nie miał luk – stwierdził Gwiazdor z dumą. – Zanim nie przeszedłeś na emeryturę i nie odciąłeś się od świata – dodał z grymasem niezadowolenia.
- Wydaje mi się, że z nas dwóch nie tylko ja się odciąłem – zasugerował Ryszard.
- Trafne spostrzeżenie. Dobrą, sprawdźmy co dla ciebie mam. – Gwiazdor zanurzył ramię aż po bark w worku. – O, ciekawe – skomentował, wyciągając prezent.

– Czy to... – Ryszard zmrużył oczy w nieskrywanym zaskoczeniu.

– Różga. – potwierdził niewypowiedzianą obserwację Ryszarda Gwiazdor – Klasyk. Dawno jej nie widziałem. Proszę.

Ryszard bez entuzjazmu odebrał prezent. Nie wiedział, czy powinno się dziękować za coś takiego.

– Wygląda na to, że nie byłeś zbyt grzeczny. Popraw się przed kolejnymi świętami. To co, ja się zbieram? – Gwiazdor klepnął dłońmi w oparcia fotela.

W tym momencie wstyd skruszył się i ustąpił miejsca dumie. To w końcu tylko do niego w tym roku przybył Gwiazdor. Tylko do niego jednego na całym świecie. Ryszard odłożył różgę między nagrodami zebranymi na kominku.

– Może chciałby Gwiazdor kawy? – Ryszard odwrócił się do Gwiazdora, wyraźnie zadowolonego ze spełnionego obowiązku.

– Mi zawsze dobrze robi przed drogą o takiej porze.

– A bardzo chętnie! – zgodził się Gwiazdor – A może z wkładzikiem?

– Szkocka? – zaproponował Ryszard.

– Będzie doskonale – przytaknął Gwiazdor.

O autorze: architekt, scenarzysta, grafik, reżyser, animator, fryzjer i programista. Czasem również Pan Maruda, niszczyciel dobrej zabawy, pogromca uśmiechów kolegów i koleżanek z grupy Pod Kocem i Książką. Mówiąc krótko: człowiek renesansu. Gdy redaktor niniejszej antologii go przycisnie, pisze prozę. Uzależniony od tworzenia, pasjonat rzeczy ładnych, wielbiciel perfekcji i porządku.



SZYBA
Zuzanna Marciniak

W snach zawsze czegoś szukał lub przed kimś uciekał. Zaś na jawie Tymek był zawieszony w jednym miejscu – w krainie szczelnie zamkniętej szklaną kopułą.

Chłopiec przyłożył czoło i dłonie do gładkiej, a zarazem matowej tafli Szyby. Była ciepła; jednocześnie pochłaniała, jak i odbijała światło zachodzącego słońca. Szyba wznosiła się w górę, tonąc w karmazynowych chmurach. Przez większą część roku nie prześwitywała, nie odbijała obrazu, stanowiła jedynie swoistą barierę przed tym, co jest na zewnątrz. A co jest po drugiej stronie, tego nie wiedział nikt. Ludzie mogli jedynie spekulować i ten brak pewności powodował u nich frustrację, którą wyładowywali pisząc na szkle różne nieprzyzwoitości.

Niedługo nadejdzie czas, w którym Szyba przez trzy dni i trzy noce przestaje być tylko tajemniczą kopułą. Nadchodzi Czas Świąteł, kiedy to bariera mieni się milionem błyszczących kolorów. Wówczas wszyscy mieszkańcy Przyszybia stroją swoje pokoje łańcuchami małych lampek, po czym spotykają się ze sobą, aby uczcić ten piękny, aczkolwiek i tajemniczy okres.

Tymek słyszał, jak ktoś po lewej stronie się modli. Odwrócił się i ujrzał grupę osób, mężczyzn i kobiet w różnym wieku. Wszyscy nosili białe, workowate szaty i trzymali świece, z których gorący wosk kapał im na dłonie.

Modlili się oni do Wielkiej Szyby.

– Dziękujemy ci, najświętobliwsza Szybo! Nie jesteśmy godni być w Kopule Świata! Będziemy wiecznie służyć ku Twej chwale! My jako najwierniejsi studzy...

Modlitwa została gwałtownie przerwana. Ktoś z ogromną prędkością wjechał rowerem w wiernych, rozrzucając ludzi na boki torując sobie tym samym drogę do Szyby. Chłopak za kierownicą głośno dyszał, a oczy mieniły się furją. Rozpędził się ponownie i z całej siły uderzył w Szybę. Rozległ się głuchy odgłos odbicia, a rowerzysta upadł na ziemię przygnieciony przez własny pojazd.

– A ty co tu robisz? – Tymek odwrócił się w stronę usłyszanego pytania i ujrzał nieznaną dziewczynę. Wyglądała na niewiele starszą od niego, była wysoka i chuda. Płowe włosy miała związane w koński ogon, który mocno opinał jej głowę.

– Tak myślę tylko... – odparł niepewnie, przeczesując prawą dłoń jasną czuprynę.

– Trzymając czoło na tej brudnej Szybie?

Tymek wzruszył ramionami. Dziewczyna przeniosła swój wzrok z chłopca na Szybę.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego jesteśmy wszyscy tu zamknięci?

– Tak.

– I?

– Myślę, że ktokolwiek to zrobił musiał mieć bardzo ważny powód.

– To nieprawda.

- A ty znalazłaś jakiś lepszy powód?
- Wiesz, dlaczego ludzie się modlą do tego kawałka szkła?
- Bo chcą dziękować za to miejsce?
- Nie. Oni przepraszają za to, że trzeba nas było tu zamknąć.
- Mówią co innego.
- Myślą inaczej. Ty też tak myślisz.
- Nie wiem, czy wiesz, co ja myślę.
- Widzę to w tobie. Wydajesz się w porządku.
- Dzięki.
- Chciałabym kiedyś wyjść poza szybę. Zobaczyć świat po drugiej stronie. Też chciałbyś?
- Może.
- Odwiedź mnie kiedyś. Będę w siedzibie Burzowych.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i odbiegła, aby w końcu zniknąć w czerwonym świetle wieczora. Tymek również uznał, że nie ma sensu dłużej ślęceć pod Szybą. Zostawił ją za swoimi plecami i poszedł w kierunku swojego dormitorium, które ozdobione świetlnymi łańcuchami było gotowe na nadchodzące wielkimi krokami Święto. Pod mosiężną bramą internatu spotkał Kubę, który zajmował pokój tuż obok niego. Chłopiec stał napięty jak skrzypcowa struna, jedynie na twarzy były widoczne różne drgania czy pęknięcia w chłodnej skorupie. W dłoni trzymał długą, białą kopertę, zamkniętą czerwoną pieczęcią. Tymek zadrżał. To nigdy nie oznaczało niczego dobrego.

– Nie mów, że dostałeś List... – zaczął Tymek, ale Kuba pokręcił przecząco głową – Wychowawczynie mi go dała – odpowiedział sucho chłopiec i wyciągnął kopertę w stronę Tymka – Kazała mi go tobie przekazać.

– Mówiła coś jeszcze? – Tymek drżącymi dłońmi wziął kopertę i zdjął z niej pieczęć.

Szybko przeczytał list. Nie było dużo tekstu, jedynie „Proszę się natychmiast zjawić w moim gabinecie. Gość czeka.”. Chłopiec przekazał kartkę koledze, który szybko ją przeczytał.

– No niby jest napisane to, co zawsze... – zaczął Kuba, ale Tymek mu przerwał.

– Ale nikt nigdy nie miał w swoim liście wzmianki o gościu. O co tu chodzi?

– Może nie o to, co zwykle. Może naprawdę będziesz miał tylko odwiedziny.

– Ale czyje?! – Tymek podniósł głos, ale od razu gwałtownie się uciszył. Później mówił już prawie szeptem – Tu nikt nikogo nie odwiedza. Obaj wiemy, że wszyscy ci, którzy dostali taki list nigdy nie wrócili.

– Czyli nie chcesz sprawdzić, co to za gość?

– Nie.

– To co robimy?

– Na pewno nie wrócę do pokoju. Mogą mnie potem już nie wypuścić.

– Gdzie chcesz iść?

– Nie wiem! Na razie jedyne, o czym myślę, to żeby zabrać moje rzeczy z pokoju. Mógłbyś je wziąć? Spotkamy się przy kawiarni.

Kuba kiwnął twierdząco głową. Chłopcy przybili sobie piątkę, po czym rozdzielili się.

Po kilkunastu minutach Tymek zauważył zbliżającego się przyjaciela. Niósł on dwie sportowe torby wypchane po brzegi.

– Idę z tobą – Kuba oznajmił to tonem niepozwalającym na sprzeciw. – Po drodze wpadłem na pomysł, gdzie możemy iść.

– Gdzie? – zapytał Tymek i wziął od Kuby jedną torbę. Drugi chłopiec przygryzł wargę.

- Chyba mamy tylko jedną opcję, ale wątpię, że ci się spodoba...

Tuż przed północą Tymek i Kuba dotarli do siedziby Burzowych leżącej na przedmieściach Przyszybia. Księżyc w pełni wyraźnie oświetlał chłopców, którzy ostrożnie stawiali każdy krok, co chwilę rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu Wychowawczyni i jej świty.

– A tak w ogóle to czemu uważasz, że oni nam pomogą? – Tymek pociągnął Kubę za rękaw i zaciągnął w mrok ciasnej uliczki. Gdzieś w oddali było słychać trąby poszukiwawcze. – Oni są szaleni. Dzisiaj widziałem, jak jeden z nich wjechał rowerem w Szybę.

– Kiedyś rozmawiałem z ich przywódcą, Albertem – odpowiedział Kuba, wygładzając pognieciony przez Tymka rękaw – mówił mi, że chcą oni rozwalić Szybę lub przedostać się na drugą stronę.

Tymek gęboko westchnął.

– W sumie rozmawiałem dzisiaj z dziewczyną od Burzowych. Też mówiła, że chce się wydostać na drugą stronę. No, ale nie wiem... Naprawdę nie ma innego wyjścia?

Kuba pokręcił przecząco głową, po czym powrócił na chodnik i zaczął kierować się w kierunku wejścia do budynku Burzowych. Tymek zrobił to samo.

Stali pod budynkiem, który niegdyś pełnił rolę magazynu na żywność. Jednak czasy jego świetności minęły i stał się pustostanem, który Burzowi chętnie przejęli i uczynili domem. Brud szarych ścian przykryto kolorowymi graffiti, a z wybitych okien wisały ich flagi – żółty piorun na fioletowym tle.

Tymek pociągnął za sznur wiszący pod drzwiami, co uruchomiło dzwonek. Po kilkudziesięciu sekundach drzwi

otworzył niski, korpulentny mężczyzna. Jego wykrzywiona w niesymetrycznym uśmiechu twarz była pokryta równie nieregularnym zarostem.

– Nowy narybek! – wykrzyknął i wpuścił chłopców do środka.

Tymek i Kuba weszli do wielkiego pokoju, którego podłoga pokryta była czerwonym welurem. Na środku pomieszczenia stał sporych rozmiarów fotel, w którym mężczyzna rozsiadł się wygodnie. Po chwili podeszła do niego młoda dziewczyna z tacą pełną owoców. Mężczyzna wziął kiść zielonych winogron, po czym zaczął je jeść, powoli delektując się smakiem. Chłopcom zaburczało w brzuchach, choć nigdy nie jedli tego owocu. Takiego typu jedzenie to luksus w Przyszybiu, gdzie standardowa dieta każdego mieszkańca to sucharki i owsianka.

– Mam taki mały zwyczaj, że osobiście witam nowych w drzwiach – powiedział mężczyzna z pełnymi ustami. Przełknął, oblizał palce i włożył kolejne winogrono do buzi – Rozumiem, że zjawiliście się tutaj, aby zasilić szeregi Burzowych?

– W zasadzie to potrzebujemy was, aby dostać się na drugą stronę Szyby... – zaczął Tymek, ale mężczyzna zaczął się głośno śmiać.

– Ale tak od razu? – Mężczyzna nagle spoważniał. Ponownie podeszła do niego dziewczyna z tacą owoców. Tym razem Tymek się jej przyjrzał i rozpoznał w niej tę osobę, z którą rozmawiał dzisiaj wieczora.

– Albercie, rozmawialiśmy o tym kiedyś... – rzekł Kuba, ale Albert machnął lekceważąco ręką.

– To nie jest tak, że od razu wyślę was na misję szukającą pęknięć, czy na testowanie nowych sposobów na zniszczenie tego cholerstwa. Najpierw musicie sobie na to zapracować. A wy nawet mi się nie przedstawiliście, na Wielką Szybowską.

– Tylko nie mamy czasu, w tym jest problem. – odparł Tymek, a Albert uniósł brwi – To znaczy... Ja jestem Tymek, a to jest Kuba. Chyba go znasz. W każdym razie my musimy opuścić Kopułę teraz.

– A czemuż wam tak się śpieszy?

Tymek wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

– Dzisiaj wieczorem dostałem list. Miałem natychmiast zjawić się u Wychowawczyni w gabinecie, a myślę, że i ty wiesz, co to oznacza. Nie byłem tam. Ona pewnie już mnie ściga. Muszę przedostać się na drugą stronę. Pomóż mi, proszę.

Albert w milczeniu jedną dłońią drapał się po brodzie, a drugą wyciągał po kolejne owoce. Zmierzył Tymka wzrokiem i pokiwał w stronę dziewczyny. Zabrała owoce i wróciła z kieliszkiem wina. Albert wypił całą zawartość jednym haustem, następnie pstryknął palcami.

– Nie wiem, jak stąd wyjść – rzekł mężczyzna głosem niezdradzającym żadnej emocji – Wyjdźcie stąd i nie wracajcie tu nigdy więcej.

– Ale... – Tymek chciał jeszcze coś powiedzieć, ale poczuł, jak ktoś go łapie pod rękę. Spojrzał na Kubę – on także był skrępowany przez Burzowego. Poddani Alberta siłą zabierali ich od przywódcy, który rzucił na odchodne:

– Niech Wielka Szyba ma was w opiece!

Chłopcy zostali wyrzuceni za drzwi, które zamknęły się za nimi z głośnym trzaskiem. Na zewnątrz padał ulewny deszcz, którego dźwięk był czasem przerywany przez trąby poszukiwawcze.

W pewnej chwili Kuba i Tymek ujrzeli Świetliki – małe stworzenia tropiące, które po oświetleniu poszukiwanego przekazywały jego położenie Wychowawczyni. Chłopcy w ostatnim momencie ukryli się w wiacie śmietnikowej. Było

tam ciemno. Deszcz mocno odbijał się o blaszany dach. W oddali było widać nieśmiało migotanie Szyby.

Tymkowi trzęsły się ręce. Chciało mu się płakać. Kuba wyciągnął z torby ręczniki i jeden podał przyjacielowi. W milczeniu wytarli się, a potem założyli kurtki i usiedli na ziemi, opierając się plecami o kontener.

Nagle w wejściu do wiaty ukazała się nieznamoma sylwetka. Chłopcy skulili się, aby być niewidocznymi. Tamta osoba nie dała się jednak zwieść i podeszła bliżej.

– To ja, nie wydam was – Tymek rozpoznał głos dziewczyny, którą widział przy Szybie i u Burzowych. – No wychodźcie stąd, na Litość Szybowską.

Chłopcy niepewnie wstali. Dziewczyna do nich podeszła z poważną miną. Mokre włosy przykleiły się jej do boków twarzy tworząc ramkę, zwłaszcza dla brązowych oczu, które zdawały się świecić w półmroku.

– Ten grubas Albert nigdzie się nie wybiera – zaczęła i bez zapytania wzięła ręcznik Kuby. Wytarła twarz i włosy, po czym kontynuowała – Jest mu dobrze tutaj, bo tu wszyscy mogą mu usługiwać.

– To, dlaczego mówi wszystkim, że chce opuścić Kopułę? – zapytał Tymek, a dziewczyna przewróciła oczami.

– Tymek, ależ ty naiwny! Tylko tak może sobie znaleźć nowych poddanych.

– Czyli nawet gdyby chciał, to by nam nie pomógł – stwierdził Kuba.

– Dokładnie.

– A co ty tu robisz? Czemu chcesz iść za Szybę?

– Zrobiłam kilka badań. Rozmawiałam z wieloma ludźmi, naukowcami. Rozmawiałam nawet z tymi kretynami z Szybowskiej sekty. Sprawdzam wszystkie możliwe wyjścia.

Zazwyczaj nie wychodziło, ale teraz mam bardzo mocną wskazówkę.

– To czemu nie powiedziałaś o tym Albertowi?

– Mówiłam, ale ten idiota mnie olał. Nie chciałam iść tam sama, bo droga jest niebezpieczna. Dlatego dzisiaj zagadałam do Ciebie, potrzebuję kompanów. A że jest was dwóch, to jeszcze lepiej, może wiecie o Szybie coś, czego ja nie wiem.

Tymek i Kuba spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

– Dobrze, pójdziemy z tobą – powiedział Tymek, a dziewczyna uśmiechnęła się, odsłaniając zęby.

– To w takim razie chodźmy.

– A może najpierw prześpimy się tutaj, a potem ruszymy? – spytał Kuba, a dziewczyna prychnęła z irytacją.

– Jak zostaniemy tutaj, to Wychowawczynie zgarnie was jeszcze przed świtem. Ruszamy teraz. Może dotrzemy na miejsce, jak wybiją Światła. Wtedy już nikt nie będzie miał czasu, aby się nami przejmować.

Chłopcy wstali i schowali ręczniki do toreb. Gdy już wychodzili spod wiaty, dziewczyna odwróciła się w ich stronę.

– A tak poza tym to jestem Ida. Miło, że zapytaście.

Tymek i Kuba nie odpowiedzieli. Mając tym razem Idę za przewodniczkę ruszyli wprost w deszczową, księżycową noc.

Gdy nastał już ranek, Tymek, Kuba i Ida zostawili za sobą miasto i wkroczyli do lasu. Po swojej lewej stronie mieli Szybę, przez którą przebijało się kilka różowych kul światła. Padało przez większość nocy, więc buty wędrowców zapadały się w nieco grząskim podłożu. Po zagłębieniu się w leśną gęstwinę postanowili odpocząć, pierwszy raz od wyjścia spod wiaty.

Kuba wskazał na wielką wierzbę, która swoimi gałęziami tworzyła liściastą kurtynę. Weszli za drzewne kulisy i usiedli na wilgotnym mchu. Światło przebijało się przez liczne małe przerwy między gałęziami. Jakieś zwierzę syknęło i uciekło na drugą stronę.

– Już sporo przeszliśmy – rzekła Ida z satysfakcją – jeszcze jakieś trzy, może cztery godziny marszu i już tam będziemy.

– Tam, czyli gdzie? – zapytał Tymek, po czym wgrzył się w wafla ryżowego wyciągniętego z torby. Rozdał resztę pozostałym.

– Dalej w lesie jest pewna chata...

Kuba przestał jeść wafla i zadrżał.

– Co ci jest? – spytała Ida, która zaczęła uważnie lustrować otoczenie – Coś usłyszałeś?

– Nie – odpowiedział chłopiec z westchnieniem – Mów dalej.

– No, jest taka chata, za którą jest pewien ogród. Można się do niego dostać tylko przez tylne drzwi chaty. Stamtąd można się przedostać na drugą stronę.

– Myślisz, że tak jest?

– Wszyscy, którzy poszli to sprawdzić, już nie wrócili. Myślę, że to może być prawda.

– Albo coś im się stało po drodze – odpowiedział Tymek i wyciągnął rękę ku pasmowi światła, które zaczęło ogrzewać fragment jego dłoni. Po chwili położył rękę na ziemi i wstał, otrzepując tyłek i kolana – Musimy iść. Jeśli teraz nie ruszymy, to już po nas.

Ida i Kuba również wstali i ostrożnie wyjrzeli za wierzbową kurtynę. Pusto, nie licząc małej srebrnej wiewiórki robiącej susy między klonami. Opuścili swoją kryjówkę i wznowili marsz po miękkim trakcie z wilgotnego mchu.

Było cicho. Próżno nasłuchiwać brzęczenia owadów ani świergotu skowronków. Nawet wiatr, który wcześniej przyjemnie łaskotał policzki zamilkł, przez co powietrze stało się stęchłe i ciężkie. Przez to zrobiło się nieznośnie gorąco – Tymek zdjął bluzę i co chwilę wycierał spocone ręce w dzinsy.

Wtem usłyszeli świst, a tuż po nim głucho wbicie się strzały w drzewo. Zaczęli biec, a strzały leciały w ich stronę jak szarańcza atakująca pola.

– Tymon, zatrzymaj się. – Ktoś wypowiadał przez megafon. Tymek, Ida i Kuba biegli dalej, nie oglądając się za siebie. – Powtarzam: Tymon, zatrzymaj się.

Zatrzymali się dopiero wtedy, kiedy zobaczyli członków oddziału Straży odcinających im drogę. Było ich pięcioro, za nimi jeszcze raz tyle. Nosili srebrne zbroje i trzymali złote łuki. Za pasem mieli przypięte miecze.

Chłopcy podnieśli ręce w geście kapitulacji. Ida uniosła tylko jedną dłoń; drugą ścisnęła swój lewy bok, z którego wystawała strzała. Tymkowi serce biło bardzo szybko, oddychał głośno i głęboko. Kuba coś krzyczał, ale było to nieskładne i niewyraźne. Ręce i nogi Tymka zaczęły trząść się w konwulsjach. W końcu dygot dopadł resztę ciała i chłopiec upadł na ziemię.

– Tymek! – wychrypiała Ida i próbowała podejść do chłopca, ale zarówno ona, jak i Kuba zostali pochwyceni przez strażników. Dwóch z nich pochyliło się w stronę Tymka, próbowali go unieruchomić, ale on im się wyrwał, wciąż pogrążony w dreszczach.

Nagle chłopiec się uspokoił. Wstał wciąż z zamkniętymi oczami. Wyciągnął czubek głowy w górę, a dłonie skierował w dół, w stronę mchu.

Ziemia zaczęła się trząść. Wszyscy upadli na mech. Część strażników wpadło do wyrw w podłożu, które stały się tak głębokie, że nie było widać końca. Okoliczne drzewa padały wraz z korzeniami. Wszystko na moment pogrążyło się w przerażającym dygocie.

Tak jak nagle się zaczęło, tak raptownie i szybko trzęsienie ustało. Świat się uspokoił, jednak nie był już taki, jak kiedyś; wyglądał jak obraz na płótnie, który ktoś pociął nożyczkami, a następnie próbował to złożyć ponownie w jedną całość.

Tymek jako jedyny stał. Oddychał ciężko i przecierał oczy ze zdziwienia. I z przerażenia.

– Co się... – Chłopiec nie dokończył, bo nagle strażnik złapał go za szyję.

– Ty! – krzyknął, a twarz skrywająca się pod połamanym hełmem była wściekła i przestraszona jednocześnie. Płuca Tymka paliły, a w oczach pojawiły się kolorowe plamki.

Wtem złapał głęboki oddech. Mroczone zniknęły. Chłopiec zobaczył strażnika, który wcześniej go dusił. Teraz to on był trzymany za szyję. Ręka kobiety, która go ścisnęła była mała i delikatna, ale skutecznie unieruchomiła mężczyznę. Jej twarz była skupiona, a jasne, długie włosy wirowały, choć nie było wiatru.

– Nie tak się umawialiśmy – rzekła.

Mężczyzna zniknął, pozostawiając po sobie mały obłok pary.

Kobieta wyciągnęła dłonie w stronę pozostałych strażników, którzy podzielili los kompana i błyskawicznie rozptynęli się w powietrzu. Gdy zwróciła się w stronę Tymka, ten stał jak sparaliżowany, choć najbardziej na świecie pragnął uciec. Ona jednak nie sprawiła, by chłopiec zniknął. Kobieta dotknęła jego policzka i uśmiechnęła się szeroko.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – powiedziała, a z Tymka uszło całe napięcie i strach. Nie wiedział, kim ona jest, ale poczuł ciepło i zaufanie. I coś jeszcze, coś nieokreślonego, coś, co zostało wcześniej zapomniane.

– Kim pani jest? – spytał, a ona, nie odrywając dłoni z policzka chłopca, odpowiedziała:

– To ja, mama.

– Ciekawe masz imię, Mama – rzekł, a Mama roześmiała się.

– A więc to tak... – rzekła, wciąż uśmiechając się i zwróciła się w stronę Kuby i Idy, którzy leżeli na ziemi – sprawdźmy, co u twoich przyjaciół.

Podeszli do Kuby i pomogli mu wstać. Chłopiec był skołowany, a jego ubrania i włosy poszarpane, ale nie wyglądał na rannego. Za to Ida leżała na plecach i patrzyła się w niebo. Lewy bok już zniknął całkowicie i pustka powoli pożerała większość ciała. Tymek podbiegł do dziewczyny i złapał ją za prawą dłoń.

Ciało Idy powoli zniknęło, a na końcu rozplynęły się usta rozciągnięte w uśmiechu. Mama dotknęła ramienia Tymka, który patrzył się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżała Ida. Pojedyncza łza skapnęła na mech, który od razu ją pochłonął.

– Co się właśnie stało? – spytał Kuba łamiącym się głosem. Następnie pociągnął nosem i zwrócił się do kobiety – nie wiem, kim jesteś, ale dziękuję.

– Nie ma za co.

– Też nie wiem – powiedział Tymek, ocierając łzy – i nie mam pojęcia, co teraz.

– Musimy iść do Chaty.

– Tylko wiesz, w którą stronę iść? Idy już nie ma.

– Wiem. – Ton głosu Kuby stał się nagle pewny i pełen powagi. – doskonale wiem, jak iść.

– Skąd?

– Bo już tam byłem. W Chacie był mój pierwszy dzień w Kopule.

Po niecałych trzech godzinach dotarli do Chaty. Przez ten czas Szyba już w pełni mieniła się tysiącem barw.

Mały drewniany domek wtapiał się w tło lasu, który był tu gęstszy, niż w jego pozostałych częściach. Po bokach budynku rozciągały się dwa szerokie pasy srebrno zielonych krzewów, które uniemożliwiały zerknięcie do ogrodu z tyłu.

– A więc to tutaj – powiedziała Mama, kierując się w stronę drzwi. Chłopcy poszli za nią.

– Szkoda, że Idy tutaj nie ma... – westchnął Tymek, a Mama złapała go za rękę.

– Z Idą jest wszystko w porządku, zaufaj mi.

Chłopiec nie odpowiedział. Serce biło mu jak szalone i sam nie wiedział, czy to ze strachu przed kolejnym nalotem Straży, czy z podekscytowania, iż cel podróży znajdował się tuż przed nim.

– Mamo... – powiedział Tymek stojąc tuż przed drzwiami Chaty – będziesz z nami nawet jak już przejdziemy poza Szybę?

– Zawsze będę z tobą – odparła z uśmiechem i otworzyła drzwi. Ukazała im się jedna izba, całkowicie pozbawiona mebli oraz ozdób. Jedynie para okien z prawej strony i wyjście na ogród z tyłu.

Chłopcy podążali za Mamą, która nie zatrzymując się w izbie, wysłała na ogród. Tam wszystkim zaparło dech w piersiach.

Na zewnątrz była dżungla. Ciemnozielone liany zwisały między gałęziami drzew uginających się od dojrzałych owoców. Gdzieś tam było widać przelatujące motyle, których skrzydła mieniły się wszystkimi możliwymi kolorami. Rozległ się trel

ptaków, który brzmiał jak radosne przywitanie w domu po długiej podróży. Było ciepło i bezpiecznie.

Szli w milczeniu i obserwowali nowy krajobraz. Chłonęli każdy dźwięk i każdy widok, by móc go podziwiać również wtedy, kiedy go opuszczą.

Dotarli do Szyby. W Ogrodzie była niemal całkowicie przykryta lianami i krzewami. Oprócz jednego gładkiego miejsca, który otoczony gałęziami przypominał wielkie oko lub portal, przez który można przedostać się do innego, lepszego życia.

Tuż obok Szyby znajdowały się schody. Kamienne i niezwykle długie, które prowadziły do wrót zawieszonych na nieboskłonie. Mama uściśnęła dłońe Kuby.

– Tutaj się rozdzielamy – rzekła, a chłopiec skinął głową.

– Jak to rozdzielamy?! – zawołał Tymek i stanął między nimi.

– Wyruszyliśmy razem i przejdziemy razem.

– Mama ma rację – odpowiedział Kuba i przytulił przyjaciela. Będąc wciąż w objęciach, dodał – Wracam tam, skąd przyszedłem. Uświadomiłem to sobie, kiedy Ida opowiedziała o Chacie. To nie był przypadek, że ją spotkaliśmy, że potem spotkaliśmy też Mamę. Musieliśmy się tu znaleźć. A ja wiem, że też tutaj się rozstaniemy.

– Nie rozumiem...

– Przybyłam tutaj po ciebie, Tymku – rzekła Mama – jestem tu, aby razem z tobą opuścić Kopułę.

– Tak jak Kuba.

– Właśnie nie. Kuba wraca za Szybę. My – kobieta wskazała na schody – wyjdziemy górą. Ponad Szybę i ponad wszystkie światy. Nie możemy iść tam, gdzie on.

Tymek uderzył pięścią w gładką część Szyby. Ta zachowała się tak, jak zwykle, czyli nie zareagowała w żaden sposób.

– Widzisz? To dla ciebie niemożliwe. Dla mnie też. Tylko Kuba może przejść.

Kuba dotknął ramienia Tymka. Po policzku spływała mu pojedyncza łza.

– Kiedyś do ciebie dołączę – rzekł, po czym dotknął Szyby. Zanurzył w niej rękę – Ale jeszcze nie teraz. Do zobaczenia!

– Cześć – odpowiedział Tymek i schował dłonie do kieszeni, aby ukryć drżenie.

Po tych słowach Kuba zanurzył się w powierzchni Szyby i zniknął za jej powierzchnią. Mama objęła Tymka, który już nie hamował łez i zaczął płakać, ukrywając twarz w jej ramieniu. Stali tak przez dłuższą chwilę i w tym czasie chłopiec poczuł coś dziwnego. Powrót dawno zapomnianych uczuć. Ciepło zalało mu ciało i poczuł się oddany i bezpieczny. Uzmysłował sobie, co to takiego.

Miłość.

Spojrzał na mamę i dostrzegł, że przez te kilka minut jej twarz nabrała kilku zmarszczek, a włosy stały się krótsze i przyprószone siwizną. Ale uśmiech był wciąż ten sam. Chłopiec wiedział, że ona nie uśmiechała się tak do nikogo innego.

Szli powoli po schodach, które były krótsze, niż wcześniej myślał. Im wyżej szli, tym czuli mocniejszy wiatr, ale wciąż było przyjemnie. Gdy dotarli na górę, Tymek odwrócił się i ujrzał całe wnętrze Kopyty, które było teraz śmiesznie małe. Zamknął oczy i westchnął.

Kiedy chłopiec otworzył Wrota, za nimi było tylko światło.

Nawet w szpitalu nie brakowało świątecznych ozdób. Ściany zdobiły girlandy świetlne przeplecione z puchatymi łańcuchami. Na środku korytarza stała sztuczna choinka, której czasy

światności dawno minęły. Podobnie jak ze strojem świętego Mikołaja, który zakładał ordynator każdego roku, aby przynieść dzieciom cukierki i trochę radości.

W pokoju czterysta cztery słychać było kolędę o małym chłopcu, który płacze z zimna. Mężczyzna siedział na krześle i cicho śpiewał, jednak, kiedy zaczął łamać mu się głos to przestał. Wydmuchał nos, otarł łzy i spojrzał na osobę leżącą na łóżku. Jak długo był on pogrążony we śnie? Jedyne powracające co jakiś czas drgawki przerywały jego nieruchomy obraz. Jak długo wszyscy mieli nadzieję, że się obudzi? Przecież kiedy zapadł w śpiączkę, miał dwanaście lat. Był tylko chłopcem. Całe życie przed nim. Nigdy nie skończył szkoły, nie nauczył się prowadzić auta, nigdy nie był zakochany.

Wszystko przez ten głupi rower, który kupili mu na Gwiazdkę. Tak bardzo go chciał, a że w grudniu rowery są tańsze niż wiosną, to postanowili mu go sprezentować właśnie wtedy. Tymek nie chciał czekać na cieplejsze dni na przetestowanie nowego sprzętu, więc wyruszył na pierwszą wyprawę w topniejącym śniegu. W pewnym momencie poślizgnął się i wjechał w witrynę sklepową. Ten zjazd spowodował, że od trzynastu lat żył jak roślina w szklarni, która nie może zakwitnąć na świeżym powietrzu.

Kiedy lekarz oznajmił śmierć mózgu, on poczuł ulgę. Żona zaś okrutnie cierpiała, co skończyło się tym, że cztery dni temu znalazł ją martwą w łóżku. Uderzyło w niego to, jak bardzo oni byli do siebie wtedy podobni – martwa matka i syn, który był siłą podtrzymywany przy życiu.

W liście pożegnalnym napisała, że nikt nie jest szczęśliwy sam, nawet w Niebie.

Przyszli lekarze. Mężczyzna skinął głową twierdząco. Patrzył, jak guzik po guziku i kabel po kablu jego syn znika z tego świata. Pikanie maszyn ustało. Czas zamarł.

Medycy złożyli kondolencje, pokleпали go po ramieniu, po czym wyszli i zostawili go samego.

Podszedł do okna i otworzył je na oścież. Obserwował, jak na niebie zagościła pierwsza gwiazdka.

O autorce: rocznik '97, więc jeszcze poniżej 26 r.ż. Pieniądze z ulgi podatkowej przeznaczają na bilety do kina i jedzenie w restauracji. Zawodowo psycholożka dziecięca, po godzinach pisarka i poetka. Laureatka tegorocznego konkursu „Storyteller” organizowanego przez Bibliotekę Sopocka. Swoje wiersze publikuje na Instagramie pod nazwą @przenoc.

Wielka fanka Black Sabbath oraz Beyonce. w wolnym czasie testuje elastyczność swojego ciała na jodze oraz próbuje grać na gitarze.